Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł – 8 stron | Warszawa, 30 listopada 1952 r. | Nr 48 (140) Rok III

PISARZ W SEJMIE

W pierwszym dniu obrad nowego Sejmu był moment krótki i doniosłością późniejszych uchwał zepchnięty na dalszy plan, ale tak silny swym uczuciowym ładunkiem, tak wyrazisty, że dla nikogo nie powinien przeminąć niespostrzeżenie. Myślę o otwarciu sesji przez Marszałka-Seniora Lucjana Rudnickiego.

To błysk wyrzuconej wysoko rakiety: światło ogarnia nie tylko najbliższe nas dni, lecz sięga w odległą, w ponad półwieczną przeszłość. Widać długą i żmudną drogę. Nie na czekaniu upływał czas. Mijał w boju, w ciężkim trudzie zdobywania pozycji po pozycji, w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne.

O tamtych latach, leżących między Sulejowem i stołem marszałkowskim Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej opowiada Lucjan Rudnicki w swej książce. Pisze, że nauczył się odróżniać słabość ludzi dobrych od cnót złego ducha. Miasto mimo niedoli i biedy otwarło nowe, niedostrzegane horyzonty. Hala fabryczna go nie przeraża... Jej potęga działa na ludzi czujących tak samo podniośle jak morze, góry i puszcza. Nie ma bowiem bezmyślnej pracy. Zdarzają się tylko bezmyślni ludzie i bezmyślna organizacja „Ziemia, po której chodziłem — pisze Rudnicki — miała dla mnie tyle uroku i tyle tajemnic, że niebo mało mnie interesowało". Z i e m i pozostał wierny umysłem i sercem. W pamięci, jako najbardziej wzruszające momenty, pozostaną dwa pogrzeby: robotnika łódzkiego i Karola Świerczewskiego. Bo to są sprawy ziemi: walka o sprawiedliwość społeczną bez odkładania jej poza życie i zrozumienie człowieka.

Powiada Lucjan Rudnicki, że żył stawiając na jedną kartę. Wywalone bramy więzienia otwarły mu drogę na wszystkie strony świata. Później, już w Polsce przedwrześniowej, będąc wciąż kandydatem do sanacyjnego więzienia, nie zdejmuje rąk z dźwigni, „która dziś-jutro wyważy Polskę na nowe tory".

Strumyki ruchu, w którym przeżywał swe radości i smutki, urosły do wielkich rzek. Ówczesne jutro jest już dniem wczorajszym. Do śmietnika historii zrzucono szpicli, żandarmów i policjantów. Znikł z życia komisarz Jegorow, odwiedzający izdebki łódzkich robotników, podsłuchujący, obwąchujący książki, bo udzielanie dóbr kulturalnych również było przestępstwem.

Pamiętam wieczór sprzed kilku lat, gdy pod koniec dyskusji nad czyjąś książką zabrał głos Lucjan Rudnicki. Było to w klubie jeszcze na Pankiewicza. Powiedział wtedy, że bez miłości i nienawiści nie obejdzie się żadna książka. Trzeba kochać Polskę i nienawidzić jej wrogów. Z łatwością odnajduję te słowa w pamięci. Kojarzą się z obrazem palącego się Sulejowa, który przez swe doszczętne nieomal zniszczenie zrównany został z Warszawą.

Droga Lucjana Rudnickiego to nie tylko szm t życia trudnie i chlubnie przebyty. To droga klasy robotniczej od zaułków konspiracyjnej walki, po wyzwolenie i zwycięstwo. Otwarcie obrad Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przez Lucjana Rudnickiego jest zupełnie wyraźnym i sądzę nie przypadkowym symbolem. Jest również jakby podsumowaniem tego, co już dokonano, co naprawiono w wiekowych krzywdach społecznych. Młody Lutek z początkowych kart „Starego i nowego" zdobywał pierwsze książki w pogorzelisku proboszczowskiej biblioteki. Ten sam człowiek przekazał urząd marszałka Sejmu w ręce prezesa Polskiej Akademii Nauk.

Światło padające z wysoka, jeśli pozostać przy wcześniejszym porównaniu, ukazuje nie samą przeszłość Przyszłość i poświęcona jej teraźniejszość wymagają wzmożenia wysiłków przy budowie Ojczyzny. Codzienne troski nużą, doskwierają. Męczy niełatwy jeszcze byt. Dolega to i owo. Ale na obojętność nie ma miejsca.

Pewnie, że więcej, i w bardziej trwałych postaciach zamknięte, można wyliczać zdobycze już osiągnięte przez naród. Ale chwila otwarcia Sejmu z swą niekłamaną symboliką chwyta za serce i działa na wyobraźnię.

Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Sejm przedstawicieli wybranych zgodnie jak nigdy dotąd, ślubował: „pracować dla dobra Narodu Polskiego... czynić wszystko dla utrwalenia niepodległości i suwerenności oraz dla pomyślnego rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

Nie może być to obojętne nikomu, kto Ojczyznę upatruje w Polsce.

Stanisław Zieliński

Sejm dokonał wyboru nowego rządu

W dniu 20 listopada odbyło się pierwsze uroczyste posiedzenie Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w skład którego weszli wybrani przez naród kandydaci Frontu Narodowego. Najdonioślejszym momentem pierwszego posiedzenia było powołanie przez Sejm pierwszego posła narodu, przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego Prezydenta Bolesława Bieruta na stanowisko Prezesa Rady Ministrów. Uzasadniając kandydaturę Bolesława Bieruta, wicemarszałek Sejmu, Franciszek Mazur, powiedział: „Bolesław Bierut jest dla całego społeczeństwa uosobieniem tego, co w narodzie najlepsze, uosobieniem olbrzymiego wkładu, jaki klasa robotnicza wniosła do historii narodu".

Wybór Bolesława Bieruta na stanowisko Prezesa Rady Ministrów — stał się okazją do burzliwej owacji, serdecznej manifestacji uczuć dla tego, którego naród zwie Wielkim Budowniczym.

W pierwszym dniu obrad Sejm dokonał również wyboru Rady Państwa, której przewodniczącym obrany został dawny górnik, zasłużony działacz robotniczy i państwowy, poseł Aleksander Zawadzki. Marszałkiem Sejmu wybrano posła Jana Dembowskiego, znakomitego uczonego, wybitnego działacza ruchu obrońców pokoju, Prezesa Polskiej Akademii Nauk.

Poseł Wiktor Kłosiewicz występując w imieniu Komisji Mandatowej podał szczegółowe dane o składzie społecznym nowego Sejmu. Z danych zawartych w sprawozdaniu Komisji Mandatowej wynika, że na ogólną liczbę 425 posłów — 173 jest pochodzenia robotniczego (zajętych w przemyśle 113, w tym 67 przodowników pracy pracujących przy warsztatach) a 155 pochodzenia chłopskiego. Poseł Kłosiewicz szczególnie podkreślił poza tym fakt, że w Sejmie znalazła się szeroka reprezentacja inteligencji pracującej licząca 94 posłów. Wśród nich jest 30 literatów, publicystów i artystów, 19 profesorów i naukowców, 20 pracowników inżynieryjno - technicznych, 17 nauczycieli i 8 lekarzy.

Najważniejszym punktem obrad drugiego posiedzenia Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 21 listopada było powołanie Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i przemówienie Prezesa Rady Ministrów, Bolesława Bieruta.

Bolesław Bierut, określając rolę i zadania nowego Rządu, stwierdził:

„Podstawą ideologiczną wyborów październikowych, sztandarem, który zdołał skupić i zjednoczyć cały naród — był program Frontu Narodowego. Sejm obecny jest wyrazem całkowitego i powszechnego zwycięstwa idei Frontu Narodowego. Wyłoniony przez Sejm Frontu Narodowego Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej winien być zatem rządem realizacji Programu Frontu Narodowego...

Pogłębiać rosnącą jedność i aktywność milionów Polaków, umacniać ze wszech miar ich czynny i świadomy współudział w budowie nowego życia — oto wielkie i naczelne zadanie polityczne wyłonionego dziś przez Sejm Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z potężnych i niewyczerpanych źródeł rosnącej energii społecznej mas Rząd ten czerpać będzie siły w swej codziennej pracy".



Rys. A. Kobzdej

A D A M   W A Ż Y K

Widziałem krainę środka

Ilustrował TADEUSZ KULISIEWICZ

1

Widziałem ziemię bezdrzewną,
równiny płaskie jak stół,
a na nich góry pradawne,
całe w ukośnych fałdach.
Widziałem pola uprawne:
kilometrami zalegle
mleczne lub żółte mokradła.
W ogromnej, sennej przestrzeni,
gdzie człowiek wydaje się miałki,
lud w kapeluszach,
lud pracowity
przetaczał wodę z działki do działki.

Krainę Środka widziałem,
pola ryżowe, pola bawełny,
ruchome rzek rozlewiska,
gdzie lęgną się smoki powodzi,
coroczne pomory i głody.

Nad rzeką Huaj-Ho
stał lud niebieskobluzy,
w koszyczkach znosił ziemię,
planowo sypał tamy,
stawiał kluczowe śluzy,
pętał spienione,
ludożercze wody.

2

Prezesi spółek akcyjnych, bankierzy, armatorzy,
Widziałem Szanghaj, kwiat waszych mórz.
Widziałem Szanghaj bez settlementów,
bez waszych kaset, kont i policji.
Widziałem Han-kou fabryczne,
nie ma w nim waszej policji.
Widziałem Kanton —
miasto podcieni i papuzich szyldów,
nie ma was w sercu Kantonu.

Wasze drapacze nieba stracone na zawsze,
Wasze kanały złota stracone na zawsze,
oazy waszych dolarów stracone na zawsze,
wasze miasta na chińskiej ziemi odtąd są chińskie na zawsze.

Prezesi spółek akcyjnych, roznosiciele bakterii,
zgrzytajcie starczymi zębami, posyłajcie muchy Ridgwaya.
Wszystkie wasze pomysły
naród chiński wytłucze,
jak wytłukł wszystkie muchy.

Przeklęte wasze wspomnienie, znienawidzony proch waszych butów.
Mam skórę tak białą jak wy,
a witano mnie wszędzie z otwartymi sercami,
robotnicy ściskali mi ręce,
trzyletnie dzieci śmiały się do mnie mamrocząc — Sulian.
Nie jestem Sulian — przybysz z Kraju Rad,
Ale jestem Sulian — biały przyjaciel,

nie jestem Sulian, ale jestem bratem Suliana.

Śpiewam przyjaźń dalekich narodów,
śpiewam chwałę polskiej bandery
wpływającej do nowych Chin
i pieśń, którą słyszałem w purpurowych murach Pekinu,
po miastach, gdzie się rodzą przodownicy pracy,
po wsiach, gdzie obradza bawełna i ryż,
nad starymi rzekami, które będą spętane:

Wschód czerwienieje,
słońce na niebie,
na ziemi chińskiej
Mao-Tse-Tung.

3

Lud sampanów po rzece Perłowej żeglował,
na pokładzie się rodził i na rzece się chował.

Lud sampanów na ziemię nigdy nie schodził.
Żył, kochał i umierał tam, gdzie się rodził.

Ośmioletnie wioślarki miały ręce krzepkie,
prędko omijały zakazaną wysepkę.

W samym sercu Kantonu Japończycy i biali
piękne domy dla siebie i dla żon zbudowali.

Nawet zwykłym Chińczykom wchodzić nie wolno,
cóż dopiero zmęczonym żeglugą mozolną.

Ja tam byłem i z ludem sampanów płynąłem,
ja tam byłem i stopą wysepki dotknąłem.

Ale nikt mnie nie witał z japońska, z angielska;
ani Jim, ani John już na wyspie nie mieszka.

Obrażeni na Chiny spakowali toboły.
Tam wioślarki z sampanów chodzą do szkoły.

4

Widziałem groty Ta-Tungu, dzieło na miarę piramid,
wielopiętrowe olbrzymy ciosane w jednym kamieniu.
Gdy palce Buddy mierzyłem, to każdy był większy ode mnie;
rzeźbione buddyjskie Giocondy stały wysoko we wnękach
i z moich ludzkich proporcji śmiały się pobłażliwie.
Legiony bogów maleńkich murszały na ścianie wapiennej,
bogowie średniej wielkości z odłupanymi głowami
w subtelnym palców układzie wznosili cienkie dłonie:
Szukajcie głów naszych w Tokio, szukajcie ich w Waszyngtonie.

5

W świątyni Sakia Muni
u stóp złoconego Buddy
trzech wystrzyżonych starców
samotnie stało o zmroku.

Jeden odmawiał psalmy,
drugi brzęczał dzwonkami,
a trzeci przenikliwie
bił w ogromny gong.

Przechodzili studenci,
przechodzili żołnierze,
przechodzili jak głusi,
daremnie dźwięczał gong.

Studenci na dziedzińcu
usiedli koło studni,
czytali, rozważali
bieżące hasła partii.

Żołnierze siedli w koło
pod daszkiem pawilonu,
słuchali, jak komisarz
wykłada hasła partii.

Kraju gasnących religii!
Kraju zbudzonej młodości!
W świątyni Sakia Muni
Daremnie dźwięczał gong.

6

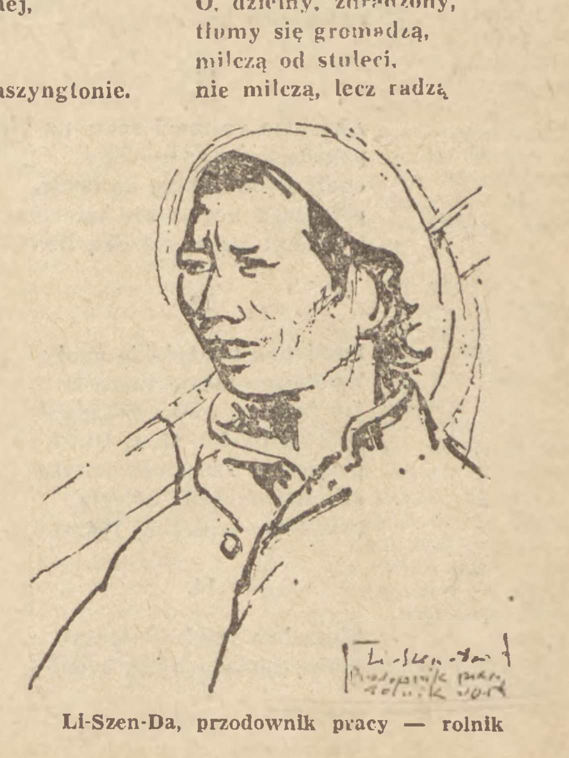
Bohaterze dzielny,
opłakany czule,
ciało twe złożono
w miedzianej kopule
i rzędem stanęli
rycerze z kamienia,
twarze ich surowe,
czyste ich sumienia.
brody wyślizgane,
od wielu stuleci
gładzone palcami
i starców, i dzieci.
A zdrajcy kamienni,
opodal przykuci,
także od stuleci
szkaradnie opluci.
O, dzielny, zdradzony,
tłumy się gromadzą,
milczą od stuleci,
nie milczą, lecz radzą



Poeta Lu-Iang (Hankou)



Pałac letni (Pekin)



Li-Szen-Da, przodownik pracy — rolnik

7.

Gdyby wszystkich, co rwą się na front ochotniczy,
posyłano na front, kto by krocie ich zliczył?
Ani jeden by student nie został w U-Hanie
I nie wiem, czy gdzie indziej choć jeden zostanie.
A robotnik, a chłop... Czyście tych policzyli?
Tu, w Pekinie, jest cisza. Niech cisza nie myli.
Jak szerokie są Chiny, do serca narodu
jeśli ucho przyłożyć, słychać huk ze Wschodu,
jeśli w oczy popatrzeć, to ognie Korei
zabłysną. Siewcy wiatru, nie siejcie zawiei.

8.

Założyciele uniwersytetu w Pekinie,
w spadzistych chińskich kapeluszach,
na wyblakłej fotografii siedzą jak w rodzinie.

Studentów przeniesiono za miasto, do budynków w ogrodzie.
Tu, w starych murach, mało się naucza;
w półmroku i chłodzie
czuć wilgoć na korytarzach.
Jest tu pokoik nieduży,
pracował w nim Mao-Tse-Tung,
pomocnik bibliotekarza.
Leżą tu jego wczesne zapiski;
tu w aurze Marksa i Lenina
zaczął dojrzewać geniusz chiński.

W tym czasie
kierował biblioteką
wykładowca materializmu
profesor Li-Da-Czao:
oto na fotografii jego sędziwa głowa,
ścięta głowa chińskiego komunisty;
oczy przysłonięte ukośną powieką
błogosławią kraj ojczysty.

9

Na wysokim wzgórzu w Nankinie
Leży moc kolorowych kamieni.
Skąd te barwy, nikt nie wyjaśni.
Czy to bóg o nieznanej godzinie
spuścił deszcz kolorowych kamieni,
czy się krew komunistów czerwieni
wytoczona na wzgórzu kaźni?

Na wysokim wzgórzu w Nankinie
piękna tuja żałobnie narzeka.
Czy to deszcz kolorowych kamieni,
czy to krwawy plon Czang-Kai-Szeka?

Położyłem wam, bracia nieznani,
wiązkę kwiatów na wspólnej mogile,
nim w przyszłości wystawią wam na niej
mauzoleum — gmach uroczysty.
Piękna tuja ucichła na chwilę,
i uniosłem garsteczkę kamieni,
i zabrałem stąd wiązkę promieni,
i zdusiłem płacz komunisty.

10

Żaden chłop nie mógł powiedzieć o sobie, że jest największym nędzarzem. Od każdej nędzy była większa nędza. Umarli z głodu nie mówią.

Byłem w chałupie chłopa. Usadowił mnie na pryczy pod oknem, na macie, poił herbatą, opowiadał o dawnej nędzy, która spłonęła z dokumentami dzierżawy. Chwalił się plonem kukurydzy, ale wiedział, że bywają większe plony. Pytał mnie, jak się rozwijają w Polsce spółdzielnie produkcyjne.

Na ścianie wisiał badyl w kształcie podwójnej gruszki. Dał mi ten badyl dla córki i zawiesił jej fotografię na ścianie.

Moja córka bawi się badylem w kształcie podwójnej gruszki.

11

Chłopcy, nie bijcie w bębny,
dziewczynki, nie sypcie kwiatów,
nie zakreślajcie nad głową
czterech pionierskich znaków.

Przyjdą godniejsi ode mnie,
zbiorą i róże, i dźwięki,
mnie, roześmiany chłopcze,
wystarczy uścisk ręki.

Dość klaskania, studencie,
studentko, oszczędzaj dłoni.
Majtkowie na okręcie,
Nie prezentujcie broni.

Chyba dla polskiej bandery,
chyba za nową Warszawę
przyjmę salut i aplauz,
i fletów miłą wrzawę.

O, dzieci Chin, w moim sercu
zostaną jasne twarze,
ruchliwi jak wietrzyk studenci,
zwinni jak kot marynarze.

12

Akrobata postawił sobie na głowie
pagodę z ośmiu spodków,
oparł się brzuchem na ławie,
przerzucił nogi przez ramiona
i zmienił się w chińską literę.

13.

Pamiętam kantońskie upały.
Twoje spojrzenie rzeźwiło
jak jan-tau, owoc gwaździsty
Dźwięk twoich słów, Uin-I,
pamiętam, i uśmiech dziecinn
gdy wspominałaś odległą,
przelotnie widzianą Warszaw

14.

Słyszałem język klasyczny:
mowę zamierzchłych kronik

Słyszałem mowę dziewcząt:
tak mówią, jak gra pasikoni



Na rzece Jang-tse

A gdy śpiewają, to śpiewa
ptaszęca okolica.

A kiedy chodzą, to płyną.
A jak? To ich tajemnica.

15

Słyszałem twą muzykę bliską przyrodzie,
garnków perkusję —
grozę jarmarczną,
widziałem panny waleczne,
panny tańczące z dwoma mieczami,
twe amazonki w zdobnych jedwabiach,
w bażancich piórach na głowie,
o rubinowych twarzach z białą pręgą na nosie,
cierpkie jak granat spojrzenie spod nieruchomej powieki
i niezrównany wdzięk ruchu
i niezrównany wdzięk dłoni,
ten sam, co w grotach Ta-Tungu murszeje i trwa przez wieki.

Widziałem twe amazonki w szaro-żółtawych drelichach
i sprawne dłonie twych dziewczyn, które dźwigały karabin
w wielkiej przeprawie po górach, w marszu z Południa na Północ,
jedne z ściętymi włosami, inne w króciutkich warkoczach,
widziałem kobiety waleczne, co szły w wyzwoleńczym pochodzie
od Charbinu po Kanton.

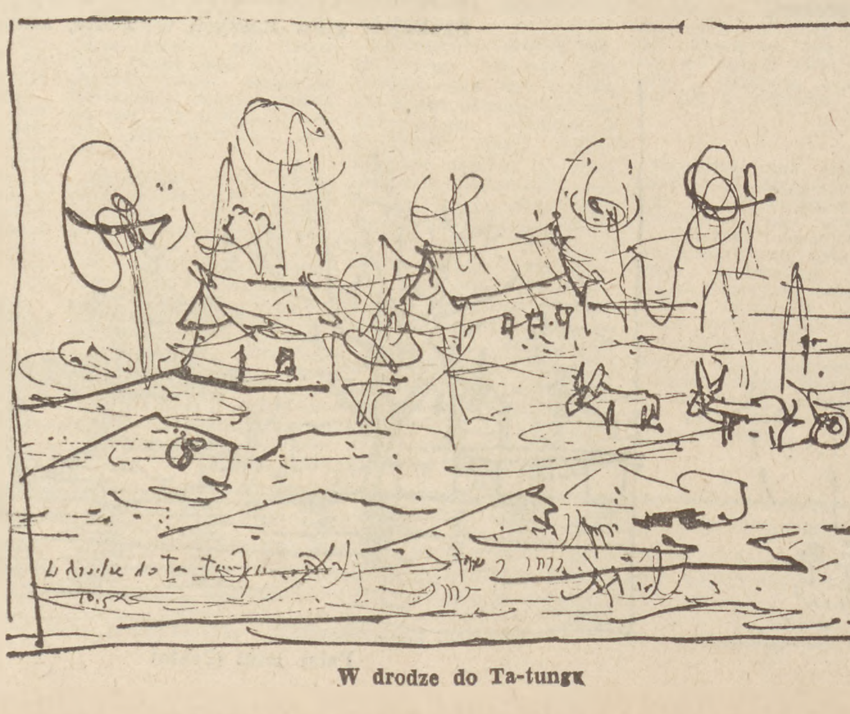
Od kraju arbuzów po kraj pomarańczy
widziałem, jak lud twój tańczy.

16

Stawiałeś wielki mur, lecz mur bezużyteczny,
wydany napastnikom, jaszczurkom i chwastom,
złudowałeś dla władców zakazane miasto
i świątynię dla Nieba, gdzie nie było ciebie.
Zmyśliłeś króla małp, aby mścił się na Niebie.
Żłobiłeś groty bogom, ziemski wdzięk im dałeś,
zamieniłeś Si-Hou w jeziorzane ogrody,
twój genius stworzył architekturę przyrody,
twój jeden łachman okrył dwadzieścia pokoleń.
Technikę znałeś dla żartu, proch — dla zabawy,
kleciłeś marmurowe statki zamiast floty,
szarpałeś sochą źle, nienawożone pole,
płaciłeś panom czynsz za swoje siódme poty,
oni palili opium — tyś sprzedawał córki,
ręką sadziłeś ryż — nie miałeś miski ryżu.
Przyszli do ciebie z gongiem — zagłuszyć twój głód,
przyszli do ciebie z krzyżem — rozpiąć cię na krzyżu.
Za to, żeś lubił kwiaty i żeś kochał świerszcze
wmawiali w ciebie bierną, tajemniczą duszę,
czytali cię jak starą nieczytelną księgę.
Któż jesteś? Prosty, chiński pracowity lud
Zdobyłeś miskę ryżu i rośniesz w potęgę.



Towarzysz Glan, kolejarz



W drodze do Ta-tung

Obchód 40-lecia pracy twórczej Marii Dąbrowskiej w Związku Literatów Polskich

Jubileusz to niedobra nazwa, obciążona zdawkową solennością, nie odpowiadająca treści takich wydarzeń, jak ostatnia uroczystość 40-lecia pracy twórczej Marii Dąbrowskiej. Uroczystość ta była piękna, bo czuło się, że odpowiadała potrzebie serc zarówno tych, którzy wypełnili tego dnia szczelnie salę Związku Literatów, jak wielu innych, których — mimo iż tam nie byli — czuło się, jako jej ogromne, wielotysięczne zaplecze Wiele tysięcy ludzi żyje bowiem od lat prawdą i pięknem zawartym w utworach Marii Dąbrowskiej.

Na sali znalazła się tylko ich szczupła „reprezentacja". Taka jaką sala mogła — i to z trudem — pomieścić. Ale atmosfera była właśnie taka, jak gdyby każdy z obecnych czuł, iż uosabia mnogie, skupione pragnienia swoje i innych, aby wyrazić głęboki, szczery podziw i hołd pisarce.

Atmosfera uroczystości miała w sobie coś, co zbliżało nas do dzieła Dąbrowskiej. Nie miała charakteru zdawkowego Była atmosferą walki ideowej Poprzez cały czas trwania wieczoru, poprzez wyrazy czci dla autorki, których symbolem było udekorowanie Jej przez Ministra Kultury i Sztuki Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, nadanym przez Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz depesza Szefa Rządu Polski Ludowej, poprzez charakterystykę Jej dzieła w przemówieniach pisarzy — biegł żywy prąd. Łowiło się gesty te i słowa, jako rzecz nie obojętną, nie etykietalną, lecz niezmiernie istotną i pełną treści. I czekało się na słowa autorki „Nocy i dni", jako na coś w tej atmosferze najważniejszego, decydującego. I słowa te, kulminacyjny punkt uroczystości, wywołały u nas coś więcej niż wzruszenie Napełniły nas radością jakiegoś wspólnego z autorką „Nocy i dni" zwycięstwa Jakiegoś głębokiego z Nią ideowego porozumienia. Porozumienia, które nastąpiło już dawniej, ale dziś na nowo zostało niejako utwierdzone.

Na utworach Marii Dąbrowskiej kształtują dzisiaj swój umysł i poczucie piękna miliony czytelników Polski Ludowej. Ale utwory te — poza fragmentami, jakie przyniosły lata powojenne — powstały w minionej epoce. Nie jest obojętne, co odnajdzie w nich dla siebie nowy czytelnik czy pisarz dzisiejszy, nie jest obojętne, jak je odczytuje dziś sama pisarka. Dlatego właśnie uroczystość 40-lecia twórczości Dąbrowskiej nie była zdawkowa, dlatego — ważne były i słowa Jej, i słowa pisarzy, którzy do niej przemawiali.

Mówcom towarzyszyła w tym wypadku — jak się zdaje — w pełni świadomość wagi owych słów, poświęconych dziełu znakomitej autorki „Nocy i dni" Były to — w każdym nieomal wypadku — wypowiedzi bardzo szczere, bardzo osobiste i nie improwizowane Zaryzykowałbym twierdzenie, że nie mniej mówiły o wypowiadających, niż o tej, do której były adresowane. Doniosłą rolę twórczości Dąbrowskiej w postępowym nurcie naszej literatury, Jej wspaniały epicki realizm i głęboką wrażliwość narodowego i społecznego sumienia podkreślił przemawiający w imieniu Zarządu Głównego ZLP Leon Kruczkowski Zofia Nałkowska złożyła swe życzenia w sposób krótki i zwięzły, zamykając je w kilku pełnych treści zdaniach. Jerzy Andrzejewski wygłosił referat drukowany w poprzednim numerze „Nowej Kultury", analizując przede wszystkim ideowy charakter Jej wielkiego dzieła. Referatu nie doczytał do końca. Niezamierzonym dramatycznym momentem było nagłe zasłabnięcie pisarza. Atmosfera stała się pełna napięcia. Andrzejewskiego zastąpił Iwaszkiewicz, krzepki i witalny, dokończył czytania referatu, rozładował częściowo ogólne zdenerwowanie Do reszty zlikwidował je jednak następny mówca, Tadeusz Breza. Dając psychologiczną sylwetkę pisarki ożywił ją swym świetnym humorem, pozostawił nas pełnych podziwu dla swojej niezwykle trafnej choć żartobliwie ujętej charakterystyki twórczości Jubilatki.

Następnie Jarosław Iwaszkiewicz wystąpił, tym razem we własnym imieniu Wystąpił z pełnym poczuciem przemawiania, jako przedstawiciel tej samej co Dąbrowska generacji Mówił pięknie i przekonywająco o znaczeniu Jej kunsztu pisarskiego, przypomniał własną ocenę Jej twórczości sprzed ćwierćwiecza, nieco ryzykowną jeśli chodzi o zarysowane związki z innymi pisarzami dwudziestolecia.

Julian Przyboś próbował „ustawić" twórczość Dąbrowskiej na tle epoki. Uczynił to w sposób mogący jednak wzbudzić wiele sprzeciwów, opierając się raczej na zewnętrznych, formalnych pokrewieństwach dzieła Dąbrowskiej z utworami innych współczesnych jej wielkich epików, a pomijając bardziej złożone związki ideowe.

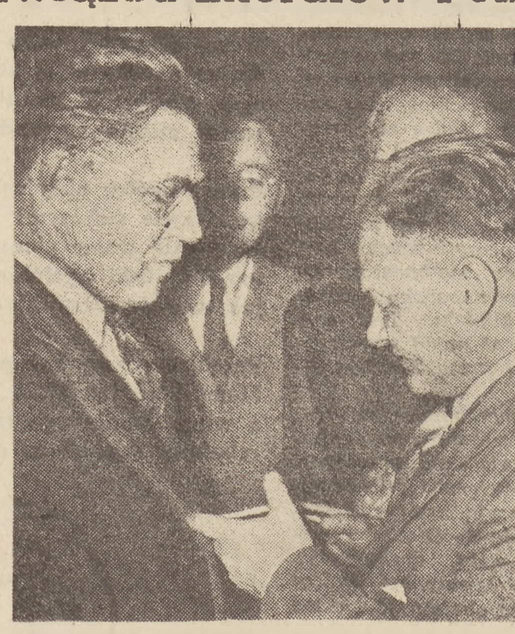
Wreszcie Adolf Rudnicki potraktował wystąpienie z wyrazami hołdu dla Jubilatki jako odskocznię do polemiki z wydawcami.

Żadne z przemówień nie było banalne, każde miało pełną ideową wymowę. Przede wszystkim zaś miały ją żarliwe, gorące słowa autorki „Nocy i dni". Potwierdzały one raz jeszcze to, co stanowi dla nas z pewnością jedną z największych wartości Jej dzieła: Jej mądre, głębokie poczucie odpowiedzialności za wielkie zadania służby społecznej i narodowej pisarza. Były one odpowiedzią dla tych wszystkich, którzy poprzez małość własnych drobnych spraw nie umieją dojrzeć wielkości przeżywanej przez nas epoki.

Część artystyczna, na którą złożyły się recytacje fragmentów prozy Dąbrowskiej oraz utwory muzyczne w wykonaniu Tadeusza Kernera, nasunąć musiała wielu słuchaczom refleksje na temat poważnego zagadnienia recytatorskiej interpretacji utworów literackich, zwłaszcza takich, jak realistyczna proza Dąbrowskiej. Wykonawcy — Janina Niczewska i Józef Kostecki — włożyli w odczytanie tych fragmentów na pewno wiele wysiłku i dobrych chęci, ale nie zmienia to faktu, że szkoły prawidłowego czytania realistycznych utworów nie mamy. Niedobre tradycje młodopolszczyzny i ekspresjonistycznego rozwichrzenia, nad którymi tak stanowcze zwycięstwo odniosła w swojej prozie Dąbrowska, przetrwały w aktorskich sposobach interpretacji Jej utworów. Sprawa jest warta rozważenia w kołach aktorskich jako zagadnienie ogólne Proza Dąbrowskiej wymaga realistycznej interpretacji.

t. m.

Aleksy Surkow w Związku Literatów Polskich



Aleksy Surkow w rozmowie z Władysławem Broniewskim

W dniu 17 bm. w Domu Literatury wybitny poeta radziecki, dwukrotny laureat Nagrody Stalinowskiej, Aleksy Surkow, wygłosił odczyt pod tytułem „Sprawy literatury w świetle uchwał XIX Zjazdu KPZR". W prelekcji swej Aleksy Surkow po zanalizowaniu obecnego stanu literatury radzieckiej wiele uwagi poświęcił nowym, ogromnym zadaniom stojącym przed każdym pisarzem radzieckim. Szczególnie interesującymi dla naszych pisarzy były fragmenty przemówienia, dotyczące satyry, dramatu, oraz scenariusza filmowego, a także sprawa doświadczeń pisarzy radzieckich w terenie Wiele również uwagi Aleksy Surkow poświęcił teoretycznym zagadnieniom, sprawie typowości w literaturze, schematyzmowi itp. Po odczycie odbyła się ożywiona dyskusja, w której głos zabierali m. in. koledzy: Ścibor-Rylski, Słucki, Dobrowolski, Pomianowski, Matuszewski, Zatorska, Dziarnowska i Putrament.

Szczegółowe sprawozdanie ze spotkania z wybitnym poetą radzieckim, Aleksym Surkowem, zostanie zamieszczone w jednym z następnych numerów

LUDWIK HIRSZFELD

W sprawie wojny bakteriologicznej*)

Po otrzymaniu pierwszych wiadomości o wojnie bakteriologicznej, prowadzonej przez wojska amerykańskie w Korei, Polskie Towarzystwo Mikrobiologów zwróciło się z apelem do bakteriologów świata, a między innymi i do bakteriologów U.S.A. ze słowami: **zbadajcie i potępcie!** Nieprawdopodobne wydawało się, ażeby bakteriolodzy Stanów Zjednoczonych wbrew uroczystej rezolucji uchwalonej na Międzynarodowym Zjeździe Mikrobiologów w Kopenhadze w roku 1947 i zaakceptowanej również przez czołowych bakteriologów Stanów Zjednoczonych mogli dać się użyć jako narzędzie w tego rodzaju barbarzyństwie. Prócz tego grono polskich bakteriologów, którzy byli na Międzynarodowym Zjeździe w Kopenhadze i brali udział w uchwale Zjazdu, przesłało do czołowych bakteriologów amerykańskich list, w którym wskazano na konieczność czynnego protestu przeciwko pracom nad bronią bakteriologiczną i przeciwko stosowaniu jej na Korei i w Chinach. Nieliczne odpowiedzi, które otrzymaliśmy, wskazują na to, że bakteriolodzy amerykańscy uważają zarzuty świata za propagandę i nie wierzą, lub udają że nie wierzą, w stosowanie broni bakteriologicznej. Niechże mi wolno będzie dlatego zwrócić uwagę na tym Zjeździe naszych kolegów i mam nadzieję również i naszych kolegów amerykańskich, dlaczego opinia świata uważa wojnę bakteriologiczną za fakt, który niestety miał miejsce. Zacytuję przede wszystkim niektóre wypowiedzi miarodajnych sfer amerykańskich. Korzystam tutaj z danych znanych bakteriologów francuskich Prenanta i Teissiera, „La Pensée" Nr 42/43 rok 1952.

„W czerwcu 1952 roku bakteriolodzy amerykańscy Rosebury i Cabat wręczyli Narodowej Radzie Badawczej (National Research Council) raport, który został następnie wydrukowany w roku 1947 w Journal of Immunology tom 56. W raporcie tym autorzy omawiają nie tylko ewentualną obronę bakteriologiczną, ale i atak w kraju nieprzyjacielskim. Raport spokojnie omawia eksterminację ludności cywilnej, uzupełnioną atakiem bakteryjnym przeciwko roślinom i zwierzętom. Na skutek tego raportu dr Rosebury stanął na czele Camp Detrick w Marylandzie stworzonym w roku 1943. Wojskowy Urząd Badawczy (War Research Service) utworzony w roku 1942 pod kierownictwem G. W. Mercka został w roku 1943 zamieniony na U. S. Biological Warfare Commitee z dużą liczbą pracowników i ogromnym budżetem. W roku 1946 Merck ogłosił oficjalny raport w Bulletin of Atomic Scientists, w którym ogólnikowo stwierdza, że wypróbowano bardzo dużą ilość drobnoustrojów. Autor kończy swoje wywody: „Wojna biologiczna jest jeszcze domeną teorii, gdyż nie była jeszcze wypróbowana, ale odkrycia ostatnie w Kanadzie i Wielkiej Brytanii wskazują, że ten typ wojny nie może być zaniedbany przez czynniki odpowiedzialne za bezpieczeństwo narodowe".

„U.S.A. nie powstrzymały przygotowań wojny bakteriologicznej, tak że 8 kwietnia 1946 roku, kilka miesięcy przed ogłoszeniem raportu Mercka, Prezydent Truman osobiście interweniował, ażeby Kongres nie ratyfikował Protokółu Genewskiego 26 września 1947 r. Związek Amerykańskich Pracowników Naukowych wystosował memorandum do O.N.Z., a w tym samym czasie IV Międzynarodowy Kongres Bakteriologów w Kopenhadze wystosował protest przeciwko wojnie bakteriologicznej. 24 lipca 1944 r. Minister Spraw Wojskowych zażądał od Kongresu 3.300.000 dolarów. Associated Press podając tę wiadomość pisze, że fundusze te zostaną zużyte na udoskonalenie broni bakteriologicznej, obronnej i ofensywnej. Gazeta pisze, że Minister Spraw Wojskowych liczy się z użyciem broni bakteriologicznej w jakimkolwiek miejscu świata. Forrestal (Bulletin of Atomic Scientists, 12 marca 1949 r.) zawiadomił, że badania wskazują na skuteczność broni bakteriologicznej i że należy je kontynuować. L. Johnson ogłasza 17 marca 1950 r. w New York Times: „Ostatnie informacje którymi rozporządzamy wykazują, że w USA została wynaleziona skuteczna broń bakteriologiczna". 31 października 1951 r. New York American Journal ogłosił wyjątek z przemówienie gen. Mc Auliffe'a, że wojna bakteriologiczna może być bronią idealną w dywersji, ponieważ można ją stosować w sposób niewidoczny. 25 stycznia 1952 r., już w czasie bombardowania zarazkami Korei, gen. Wiliam Creasy, szef Działu badania ciał chemicznych, pisał: „Według mego głębokiego przekonania, broń bakteriologiczna pozwala zmniejszyć wydatki wojskowe, osłabić siły obronne wroga i dać nam zwycięstwo bez ekonomicznego zniszczenia, gdyż broń ta nie niszczy budynków ani wyżywienia. Sekr. Stanu Johnson pisał według Stuarta Mudda (The Nation 20.V. 1950 r.), że skuteczność wojny bakteriologicznej nie może być jeszcze znana wobec tego, że nie została jeszcze praktycznie wypróbowana, ale jeżeli się uwzględni wszystkie czynniki, nie wykluczając psychologicznych, należy sądzić, że może ona być skuteczna".

Cytuję zatem wypowiedzi pochodzące z oficjalnych źródeł St. Zjednoczonych. Mówią one same za siebie. W tych warunkach wydaje się co najmniej niezrozumiałe, jeżeli tacy uczeni jak np. Dyrektor Instytutu Pasteura, Tréfouel, stwierdza, że wojna bakteriologiczna jest niemożliwa, ponieważ poza czynnikiem etiologicznym wybuch epidemii wymaga dodatkowych jeszcze nieznanych czynników. „Nieznanych" nie oznacza, że nie istniejących. Spowodowanie śmierci i chorób na skutek zakażenia w związku z wojną bakteriologiczną jest równie nikczemne, jak spowodowanie zagnieżdżenia się zarazka w danym kraju na stałe.

Fakt wojny bakteriologicznej został potwierdzony przez Międzynarodową Komisję Prawników Demokratów. W Stanach Zjednoczonych nie uwierzono prawnikom, proponując Międzynarodową Kontrolę Czerwonego Krzyża. Chiny odmówiły wpuszczenia Komisji Czerwonego Krzyża, przypominając, że Czerwony Krzyż w czasie nocy okupacyjnej nigdy nie występował przeciwko zbrodniom hitlerowskim. Niech mi będzie wolno ogłosić jedno wspomnienie. Pamiętam jak lekarze z krajów neutralnych zwiedzali więzienie w Getcie. W więzieniu tym znajdowali się Żydzi, których jedynym przestępstwem było przekroczenie granic Getta. W więzieniu były pale, do których przywiązywano skazańców. Kara śmierci była wydawana na mocy obrad trwających trzy minuty. Na murach więzienia były plamy krwawe. Pytam: „Gdzie są ślady tej wizyty lekarzy neutralnych, gdzie są ich protesty? Jak można nazwać neutralnością zaniechanie wszelkiego protestu przeciwko zbrodni jedynie dlatego, że ci, którzy ją popełnili znajdują się na wyższym szczeblu dobrobytu niż ich ofiary?"

Następnie w miesiącu lipcu b.r. bawiła w Korei i w Chinach Międzynarodowa Komisja Naukowa, złożona z wybitnych uczonych, a mianowicie:

Andreen Andrea — szef Laboratorium Klinicznego w Szwecji dr med. i dr filozofii.

Malterre Jean — inż. agronom, fizjolog i biolog — Francja.

Needham Joseph — jeden z największych uczonych angielskich, dr filozofii, embriolog i biochemik — Wielka Brytania.

Olivo Oliviero — dr med., biolog i anatom — Włochy.

Pessoa Samuel — dr med., parazytolog i entymolog lek. — Brazylia.

Zukow-Wiereznikow — Członek Akademii Medycyny, bakteriolog i epidemiolog — ZSRR.

Sumienie nakazało tym wybitnym uczonym wziąć udział w pracach Komisji.

Będąc w Berlinie otrzymałem zaproszenie od prof. Joliot-Curie, by wziąć udział w pracach Komisji. Niestety tragedia rodzinna, choroba i śmierć bardzo bliskiej mi osoby, nie pozwoliły uczynić zadość wezwaniu. Ale tym bardziej **czuję się w obowiązku publicznego stwierdzenia, że solidaryzuję się w pełni z raportem Komisji.** Nie będę podawał poszczególnych faktów i dowodów, ale chciałbym zacytować jedną część raportu i wnioski Komisji.

„Owady, pióra i inne znalezione przedmioty zostały starannie zebrane i poddane fachowemu badaniu entomologicznemu, mikrobiologicznemu i epidemiologicznemu. Badanie zostało przeprowadzone z jednej strony przez specjalistów Koreańskiej Armii Ludowej i koreańskich zakładów naukowych, z drugiej strony przez chińskich specjalistów instytutów badawczych.

Jesteśmy w posiadaniu szczegółowego opisu przebiegu badań laboratoryjnych, przeprowadzonych przez grupę chińską. W dokumencie tym podano szczegółowe etapy badania diagnostycznego. Z różnych gatunków much znalezionych w Korei wyodrębiono Vibrio Cholerae, S. typhi abdominalis, S. paratyphi i Shigella dysenteriae. W 6 przypadkach stwierdzono za pomocą posiewów, doświadczeń i badań serologicznych obecność Pasteurella pestis, zarazka wywołującego dżumę u pcheł.

Na specjalną uwagę zasługuje fakt, że nawet raporty armii południowo - koreańskiej stwierdzają, że w ciągu ostatnich lat do chwili obecnej nie notowano w Korei dżumy.

U różnych gatunków owadów zebranych na obszarze Chin i poddanych tam badaniu znaleziono w sposób niezbity zarazki. U różnych gatunków much stwierdzono S. typhi abdomin., S. paratyphi B. U pająków znaleziono bardzo zjadliwy szczep Pasteurella, który w chwili zredagowania dokumentu nie został jeszcze rozpoznany. U Collembolla wyodrębniono szczep Rickettsii wirulentnej dla świnki morskiej. Również i ten szczep nie był jeszcze rozpoznany w chwili redagowania dokumentu".

Oto wnioski Międzynarodowej Naukowej Komisji, której polecono sprawdzić fakty dotyczące wojny bakteriologicznej w Korei i w Chinach:

„Od początku 1952 r. miały miejsce dziwne fakty na terytorium Korei i Chin, wzbudzające podejrzenia ze strony narodów i rządu tych krajów, że siły Stanów Zjednoczonych zainicjowały wojnę bakteriologiczną.

Międzynarodowa Komisja Naukowa zorganizowana w celu sprawdzenia odnośnych faktów zakończyła swoje prace po 2-ch miesiącach badań na miejscu. Znalazła się ona w obliczu wielkiej liczby faktów, z których część mogła w pełni posłużyć jako materiał dowodowy.

Komisja skoncentrowała swe wysiłki na badaniu tych ostatnich i doszła do następujących wniosków:

Narody Koreański i Chiński stały się obiektem licznych ataków mikrobiologicznych popełnianych przez wojenne jednostki St. Zjednoczonych. Użyto różnych metod rozprzestrzeniania zarazków, z których niektóre wydają się rozwinięciem metod używanych przez wojskowych japońskich w czasie II wojny światowej.

Komisja wyciągnęła wnioski, logicznie wiążąc wszystkie znane jej fakty. Musiała ona schylić czoła wobec istniejących dowodów i stwierdzić, że mimo powszechnej dezaprobaty, zastosowane zostały te nieludzkie metody prowadzenia wojny.

Komisja wzywa narody całego świata, ażeby podwoiły swoje wysiłki, w celu powstrzymania wojny i ażeby postęp nauki nie został użyty dla zniszczenia ludzkości".

Otrzymujemy listy od uczonych amerykańskich, którzy negują istnienie wojny bakteriologicznej. Na początku mojego przemówienia podałem wypowiedzi czołowych przedstawicieli świata amerykańskiego, którzy mówią o nowej broni bakteriologicznej i którzy tą wojną grożą. Czyż można wymagać od świata, by nie wierzył tym, którzy posiadają władzę i którzy wojną bakteriologiczną grozili latami?

Przecież w wojnie bakteriologicznej bierze udział nie uczony, który ma sumienie, lecz ten który oddaje się na usługi pozbawionym sumienia zbrodniarzom pozostającym u władzy.

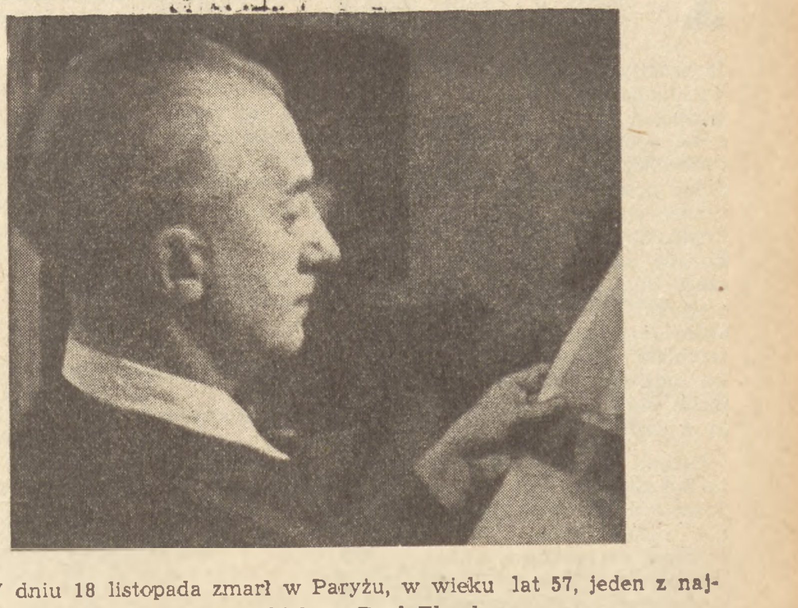
Gdy nas katowano i mordowano, gdy traktowano nas w obozach jak zwierzęta doświadczalne, świat uważał nasze skargi za chwyt propagandowy. I dlatego właśnie nam Polakom nie wolno dopuścić do tego, ażeby głos cierpiących był głosem wołającego na puszczy.

Musimy stwierdzić, że oficjalni przedstawiciele rządu amerykańskiego dyskutowali sprawy wojny bakteriologicznej i stwierdzali jej użyteczność. Wypowiedzi te mówią same za siebie. Cenimy wkład bakteriologów amerykańskich do nauki światowej, znamy ich pełną poświęcenia pracę w walce z chorobami zakaźnymi. Ale musimy jednocześnie stwierdzić, że obok tych wielkich uczonych znajdują się również tacy, którzy współdziałają z polityką niszczenia i którzy pracują nad bronią bakteriologiczną. W chwili przełomowej dla szacunku, którym świat ma otaczać uczonych, stajemy po stronie tych, którzy są obiektem ataku przy pomocy broni bakteriologicznej, po stronie tych, którzy cierpią.

Ludwik Hirszfeld

*) Przemówienie wygłoszone na Zjeździe Mikrobiologów w Łodzi w listopadzie 1952.

Paul Eluard nie żyje



W dniu 18 listopada zmarł w Paryżu, w wieku lat 57, jeden z najwybitniejszych poetów francuskich — Paul Eluadr.

Twórczość Eluarda — niezwykle bogata (poeta pozostawił 32 tomy wierszy) i różnorodna, w której, jak mówi Aragon, „sprzęgły się piekło i niebo" — ma wymowę głęboko humanistyczną. Ale nie sama twórczość decyduje o wielkości tego poety. Eluard był niestrudzonym bojownikiem o wolność i sprawiedliwość społeczną, aktywnym członkiem Komunistycznej Partii Francji i czołowym działaczem światowego ruchu obrońców pokoju.

Eluard wstąpił do KPF w czasie okupacji hitlerowskiej. Od tej chwili poezja jego służy niestrudzenie ludzkim sprawom, nabiera większej prostoty, staje się jednoznaczna w swej wymowie politycznej. Okres ten jest również okresem najbujniejszego rozkwitu jego talentu. Wydaje po wojnie 12 tomów poezji, których tytuły: „Poezje polityczne", „Lekcja moralności" czy „Możność wypowiedzenia wszystkiego" doskonale tłumaczą nową treść jego poezji.

W 1948 roku gości w Polsce na Międzynarodowym Kongresie Intelektualistów w obronie pokoju we Wrocławiu i w 1951 roku na II Międzynarodowym Kongresie Pokoju w Warszawie.

Śmierć Eluarda jest nie tylko stratą dla kultury francuskiej — jest stratą dla wszystkich miłujących pokój narodów. Depesza wystosowana przez KC PZPR do KC KPF, mówi:

„Przesyłamy Wam wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu wielkiej straty, jaką poniosła literatura francuska przez śmierć tow. Paula Eluarda.

W osobie zmarłego żegnamy wielkiego poetę i bojownika o lepsze jutro Francji, niezłomnego obrońcę pokoju i oddanego przyjaciela Polski Ludowej".

ARNOLD SŁUCKI

PAUL ELUARD

**Piękna mowo błyszczysz nie alabastrów bielą.
Francja cię owiała oddechem gorącym.
Jeśli gwiazdą twa rana — niech świeci dla wielu,
strofo, dłoń uściśnij żywym i idącym.**

**Słowom — gniew i mądrość ludzka i sprawdzona,
tkliwość szlachetna wytrwałym i dzielnym.
Francjo, poezjo, różo! — oto Ona,
w Marsyliance robotniczych dzielnic.**

ROMAN SZYDŁOWSKI

Zwycięstwo burzy

W. Bill-Biełocerkowski: „Sztorm". Sztuka w 3-ch aktach (w 11-tu obrazach). Reżyserzy: J. Zawadski i E. Stradomska Scenograf: M. Winogradow Muzyka: J Biriukow. Występy Teatru im Mossowietu na scenie Państwowego Teatru Polskiego w Warszawie.

Występy teatrów radzieckich w Polsce mają już swoją piękną choć niedawną tradycję. Oglądaliśmy w latach ubiegłych doskonałe przedstawienia moskiewskiego teatru Ochłopkowa, teatru im. Franki z Kijowa i teatru im. Puszkina z Leningradu. Z ogromnym zainteresowaniem oczekuje rok rocznie polska publiczność tradycyjnych występów gościnnych jednego z przodujących zespołów teatralnych Związku Radzieckiego, które są zawsze ozdobą Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W tym roku przybył do Polski jeden z najlepszych teatrów stolicy Związku Radzieckiego Teatr im. Mossowietu, na którego czele stoi znakomity reżyser i aktor, uczeń Stanisławskiego i Wachtangowa — Jurij Zawadski. W zespole tym znajdują się tej miary aktorzy teatralni i filmowi co znana daleko poza granicami Związku Radzieckiego Wiera Marecka, Faina Raniewska, Mikołaj Mordwinow, Borys Olenin, R. Platt, O. Abdułow, P. Gieraga i wielu innych. Wielkie zainteresowanie znawców teatru wywołała również możliwość zobaczenia tak interesujących dekoracji i kostiumów, jakie w Teatrze Mossowietu projektuje przeważnie jeden z najwybitniejszych scenografów Związku Radzieckiego, M. Winogradow.

Nie bez znaczenia był fakt, że „Sztorm", sztuka, nie grana dotąd w naszym kraju, pokazana została polskim widzom w interpretacji tego właśnie teatru, który po raz pierwszy wystawił ją na scenie radzieckiej.

„Sztorm" był pierwszą pełnowartościową radziecką sztuką, która ukazała na scenie postacie bohaterów Rewolucji, zwycięską walkę narodu radzieckiego, stoczoną pod wodzą partii Lenina i Stalina z siłami starego świata, które próbowały zadusić wielki płomień Października. Pierwsze lata po zwycięstwie Rewolucji Październikowej przeszły pod znakiem poszukiwań i dyskusji również i w dziedzinie teatru. Najwybitniejsze teatry radzieckie grały w tym czasie utwory klasyczne starając się interpretować je w nowy sposób, lecz widz radziecki żądał sztuk współczesnych. Chciał on zobaczyć siebie i swych bohaterów, trud, pracę i walkę młodego radzieckiego społeczeństwa. Improwizowane „widowiska rewolucyjne" wystawiane początkowo przez obciążonych grzechami formalizmu i symbolizmu reżyserów — nie zadowalały go. Sięgnięto do przeróbek z najpopularniejszych powieści radzieckich. Wciąż jeszcze brak było prawdziwego dramatu o życiu i walce młodej Republiki Rad. I oto takim właśnie dramatem stał się „Sztorm". Ta optymistyczna tragedia wystawiana na scenie teatru Moskiewskiej Rady Delegatów Pracujących została gorąco i serdecznie przyjęta przez radziecką publiczność. Zapoczątkowała ona cykl sztuk objętych dziś wspólną nazwą t. zw. klasyki radzieckiej. Jak bardzo wpłynął „Sztorm" na te sztuki, możemy łatwo stwierdzić, znajdując w nich liczne elementy treściowe i liczne postacie tak bardzo mu bliskie i pokrewne. Oto bohaterski marynarz, działacz partyjny, zahartowany w bojach rewolucjonista, którego śladem „Sztormu" spotykamy zarówno w postaci Szwandii w „Lubow Jarowaja" Treniewa, jak i w postaci Znobowa w „Pociągu pancernym" Iwanowa. Oto tragiczna śmierć przewodniczącego komitetu powiatowego partii w „Sztormie" powtarza się, w innych oczywiście warunkach i w innym układzie sytuacyjnym, w „Pociągu pancernym". Pieklewanow ginie przecież na chwilę przed zwycięstwem rewolucyjnego powstania. Oto pełne tragizmu i patosu zakończenie „Sztormu" odnajdujemy zarówno we wzruszającej scenie końcowej „Pociągu pancernego" jak i we wspaniałej apoteozie triumfu rewolucji, która zamyka sztukę „Lubow Jarowaja". „Sztorm" nie jest zapewne najznakomitszą z wielkiego cyklu klasycznych sztuk dramaturgii radzieckiej. Lecz jest sztuką pierwszą i w pewnym sensie najbardziej charakterystyczną.

Na czym polegają zalety tej wzruszającej, wstrząsającej i mobilizującej widzów sztuki? „Sztorm" demonstruje nam główny i najważniejszy konflikt epoki: walkę między władzą robotników i chłopów, prowadzoną pod wodzą partii bolszewickiej, a wszystkimi wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami klasowymi. Bill-Biełocerkowski nie tylko podjął najważniejszy temat życia i walki radzieckiego społeczeństwa z pierwszych lat po zwycięstwie Rewolucji. Potrafił on przekazać tę pasjonującą problematykę widzom w sposób niezwykle interesujący, potrafił przemawiać najautentyczniejszym językiem obrazów, które na długo wrażają się w pamięć.

Zarówno konflikty „Sztormu", jak i ludzie w nim ukazani, są wzięci prosto z życia. Nie ma w tej sztuce przemilczania żadnych, najbardziej nawet bolesnych i trudnych, spraw. Autor nie waha się pokazać, z jakimi straszliwymi przeciwnościami musiała walczyć młoda władza radziecka. Widzimy jak wróg organizuje i przygotowuje spisek kontrrewolucyjny, docierając swymi mackami do najczulszych ogniw radzieckiego aparatu państwowego i Armii Czerwonej. Bill - Biełocerkowski niesłychanie śmiało pokazuje starcia, wzmagając do maksimum napięcie dramaturgiczne sztuki. Oto nawet komendant wojskowy całego terenu jest białogwardyjskim spiskowcem, przygotowującym w porozumieniu z oficerami i niektórymi działaczami aparatu państwowego (nawet członkami partii) kontrrewolucyjne sprzysiężenie przeciw władzy radzieckiej. I dopiero na tym tle w całej pełni ukazany zostaje ogrom zwycięstwa odniesionego nad wrogami rewolucji. Dzięki temu, że sztuka niczego nie upraszcza i niczego nie ułatwia, że zgęszcza barwy, a nawet czasem je wyjaskrawia, tchnie ona głęboką prawdą, głębokim optymizmem, niezłomną wiarą w zwycięstwo rewolucji w najtrudniejszych nawet warunkach. Dzięki temu pełne pokrycie znajdują w akcji sztuki słowa stwierdzające, że młoda władza radziecka nie znajduje się na wyspie otoczonej wrogami, lecz raczej na wspaniałej odskoczni do wielkich historycznych zwycięstw nowego ustroju w całym świecie.

„Sztorm" jest znakomitym przykładem właściwego pojmowania problemu typowości, może być stawiany za wzór ilustracji głębokich myśli zawartych w referacie Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR. Czyż bowiem nie jest przejaskrawieniem, świadomym wyostrzeniem obrazu, ukazanie członka partii, który porzuca swą żonę w daleko zaawansowanej ciąży? Czyż nie jest zaprzeczeniem statystycznej metody rozumienia typowości ukazanie mieszczki o bardzo lekkich obyczajach, jako osoby pragnącej wstąpić do partii? Czyżby rozpowszechnionym najbardziej zjawiskiem owych lat był fakt, że poważny działacz, kierownik resortu oświaty, jest agentem angielskiego wywiadu? A przecież autor wydobywa właśnie dzięki tym świadomym przejaskrawieniom i wyostrzeniom obrazu istotę zjawiska historyczno-społecznego: rolę partii, która skutecznie zwalcza wszystkie trudności, zwycięża wrogów, utrzymując nierozerwalną więź z masami partyjnymi i bezpartyjnymi, umie mądrze i skutecznie mobilizować je do walki. Partia jest bohaterem „Sztormu", a centralnymi postaciami sztuki są jej ofiarni i bohaterscy działacze. I w niczym nie wypacza tego obrazu fakt, że wśród członków partii znajdzie się tu i ówdzie parszywa owca. Przeciwnie: tym większa i lepiej uwypuklona jej siła, że potrafi ona w porę ich zdemaskować i unieszkodliwić. Polscy pisarze mogliby, patrząc na przedstawienie „Sztormu" i analizując jego konstrukcję ideowo-artystyczną, niejednego się nauczyć. Tak właśnie bowiem jak w tej sztuce pojmować należy zagadnienie typowości, tak ostro i bezkompromisowo stawiać problemy, konstruować konflikty i rozwiązywać je.

Jakżeż współcześnie brzmią dziś te fragmenty sztuki, które oskarżają wywiad angielski o spowodowanie zarazy tyfusu, jakże podobnymi środkami posługują się dziś amerykańscy ludobójcy w Korei, organizując i prowadząc wojnę bakteriologiczną, potępioną przez całą ludzkość. I jakże pouczający jest wniosek, który i w tej dziedzinie wypływa ze „Sztormu". Na nic nie zdała się angielskim imperialistom zaraza wywołana w owym czasie w Rosji. Zostali oni pokonani i wypędzeni, a niebezpieczeństwo tyfusu zażegnane. Narodu walczącego o swą niepodległość i wolność, w obronie słusznej i wielkiej sprawy nie zwyciężą ani bomby, ani karabiny, ani nawet bakterie, ohydna stawka zbrodniarzy wojennych.

Wielkie zainteresowanie wywołuje również „Sztorm" swą konstrukcją dramaturgiczną. I w tej dziedzinie stanowi on krok naprzód, owoc twórczych i nowatorskich poszukiwań. Rewolucyjna treść nowej sztuki nie mieściła się już w starych formach mieszczańskiej dramaturgii, Biełocerkowski rozbił je i zapoczątkował cykl sztuk złożonych z szeroko malowanych obrazów, w których sceny tragiczne przeplatają się z komicznymi, jak w życiu.

A przecież mimo rozluźnienia konstrukcji dramaturgicznej „Sztormu" sztuka ta ma swoją głęboką logikę twórczą. Napięcie stopniowo w niej narasta, akcja rozwija się od obrazu do obrazu, główna oś konfliktu przebiega przez całą sztukę. Czy „Sztorm" nie ma wad? Byłoby oczywiście błędem tak sądzić. Napięcie, tak silne w dwóch pierwszych aktach, nie rośnie w tym samym stopniu w akcie trzecim. Pełna ładunku emocjonalnego scena „Subotnika" ma za mało dynamiki i w niedostatecznej mierze posuwa naprzód akcję. Lecz ogromne zalety ideowe sztuki, jej żarliwość ideowa i siła przekonywania, przesłaniają zupełnie te czy inne wady.

Wielką rolę odgrywa w przedstawieniu „Sztormu" wzorowa praca, jaką włożył w jego inscenizację Teatr im. Mossowietu. Reżyseria J. Zawadskiego i E. Stradomskiej umiała doskonale wydobyć treść sztuki i opracować jak najstaranniej wszystkie jej sceny, aż do najmniejszych szczegółów włącznie. Szczególne uznanie wzbudzić musi rozwiązanie scen przesłuchania w Cze-Ka napisanych dość statycznie, a przecież niezwykle pomysłowo inscenizowanych i trzymających w napięciu całą widownię. Doskonale pomyślana i zrealizowana jest również scena zbiorowa w koszarach, gdzie młoda dziennikarka rozbija mężnym, partyjnym słowem kontrrewolucyjny

(Dokończenie na str. 6-ej)

JÓZEF GRABOWICZ

P O W

I

Po nieprzespanej nocy, nad samym ranem Weronka zdecydowała wreszcie, że należy o świcie opuścić rodzinną zagrodę. Zwinęła w niewielki węzełek swoje szmaty i nie budząc nikogo wymknęła się z chałupy cicho, bez pożegnań. Najkrótsza droga do Dęsośni wiodła przez wieś, ale Weronka wybrała tę dłuższą przez polne dróżki i miedze. Pragnęła uniknąć spojrzeń ludzkich zawistnie kontrolujących jej życie. Nie chciała, aby zatruły one urok dzisiejszego dnia. Kiedy znalazła się na wzgórzu, skąd wieś wyglądała jak stado rozproszonych kurcząt, zatrzymała się i spojrzała w kierunku rodzinnej chałupy. Za chwilę miała skręcić w zagajnik i stracić ją z oczu.

Ostatni wieczór spędzony u brata był dla Weronki wypełniony lękiem o dalszy bieg losu. Z decyzją nie można było jednak dłużej zwlekać. Od czterech miesięcy czekał przecież Michał w Dęsośni i przynaglał, ciągle przynaglał. Weronka nie mogła zasnąć tego wieczoru. Siedziała na krześle obok stołu i wtuliwszy głowę w ramiona rozmyślała. Od tych rozmyślań bolała ją głowa. Nigdy przedtem nie zastanawiała się tak głęboko nad swoim życiem jak dzisiaj. Obecnie nadarzała się okazja, aby je zmienić. Ale czy to zresztą można nazwać okazją. Tamtą służbę w hrabiowskim pałacu we wczesnej młodości Weronka także nazywała okazją, wspaniałą okazją. I cóż się okazało. Służba w hrabiowskim pałacu trwała krótko, zaledwie kilka tygodni i skończyła się wcześniej niż Weronka mogła przypuszczać. Rządcę przeniesiono do innej posiadłości hrabiego, zabrakło jego protekcji i wymówiono Weronce pracę. Pożegnała się więc z hrabiowską służbą i poszła na zwykłą, kułacką. Z tej służby zapamiętała jedynie uczone słowa rządcy: — „Dziewczyno, miłość staje się dziś tak powszechna w obiegu jak pieniądz".

Po wojnie powróciła na ojcowiznę. Należał jej się spadek w postaci jednego morga, miała więc prawo. Była kulą u nogi brata, który ożenił się i osiadł na gospodarstwie, nie miała jednak odwagi pomyśleć o innym życiu. Długie pasmo doświadczeń z okresu służb stało żywo w pamięci. Wydawało się jej, że jedynie tu na ojcowskim, rodzinnym zagonie może spędzić spokojnie resztę życia. Przekonanie to tak głęboko zapadło w świadomość Weronki, że nawet najbardziej ponętne opowiadania znajomych o samodzielnej ich pracy w fabrykach pobliskiej Łodzi były nierealne, nieprzekonywające. I pozostała u brata. Nie wychodziła za mąż. Wlokła się za nią czarnym cieniem niechlubna przeszłość z okresu służb, owa sprawa z rządcą hrabiego znana wszystkim w okolicy.

Minęła już dawno północ, a Weronka nie zasypiała, spoglądała w kierunku brata, leżącego na łóżku w kącie izby. W blasku księżyca, który sączył się do lepianki przez wąską okienną szparę, widziała jego czuprynę zwichrzoną, czerniejącą na białej poduszce. Szukała w bracie doradcy w tej trudnej do rozstrzygnięcia sprawie. Mateusz wbrew jej przypuszczeniom także nie spał. Leżał na łóżku z przymkniętymi powiekami, ale sen nie przychodził. Niepokój, lęk, ciekawość były uczuciami pojawiającymi się u niego ilekroć pomyślał, że za kilka dni skończy samodzielne dziesięcioletnie gospodarowanie na zagonie odziedziczonym po ojcu i zacznie gospodarować zespołowo z całą gromadą w nowej spółdzielni. I choć przy organizowaniu jej był pierwszy, choć wybrano go do zarządu, nie mógł się uchronić od uczucia jakiegoś bliżej nieokreślonego niepokoju. Dlatego też nie spał tej nocy. Znał również sprawę siostry, wiedział, że czeka na jego radę i decyzję. Kiedy już dokładnie ją przemyślał i w szczegółach wykalkulował, uniósł głowę z poduszki i zaczął: — Nie chciałbym ja, moja siostro, twojej krzywdy — wiesz, że ci zawsze dobrze życzyłem.

Weronka drgnęła usłyszawszy te słowa, nie przypuszczała, że brat nie śpi o tej porze.

— Nie chcę ci broń Boże odmawiać, abyś ze mną razem pracowała w spółdzielni. Ale powiem ci krótko, jakie jest moje zdanie w tej sprawie... Kiedy ty wyjdziesz za Michała — ciągnął brat powoli — to oboje na tym nie przegramy. Ja przystępuję do spółdzielni, nie wiadomo jeszcze, jak to w niej będzie, a ty będziesz gospodynią na sześciu morgach. Może mnie będzie źle i do ciebie się wtedy o pomoc zwrócę, a może będzie odwrotnie, ja ci dam wtedy wsparcie. Według mojej rady to tak, jakbyśmy się z dwóch stron, na dwa fronty ubezpieczyli.

Słowa brata wydawały jej się przekonywające, pamiętała teraz o nich, kiedy spojrzeniem ze wzgórza żegnała wioskę rodzinną i zagrodę odziedziczoną po ojcu przez brata. Spojrzała raz jeszcze w stronę rodzinnej chałupy i pobiegła zagajnikiem. Rozważała słowa brata i wierzyła, święcie wierzyła w ich słuszność. Nareszcie skończą się ludzkie gadki. Wyjdzie za mąż, a co najważniejsze będzie gospodynią. Nie zdawać się na łaskę bra a, być **samodzielną gospodynią na własnym** gospodarstwie, oto prawdziwa radoś i szczęście, których Weronka w żaden sposób nie potrafiła sobie w tej chwili wyobrazić. To szczęście było tak bliskie niej jak nigdy i uwierzyć było w nie trudno. Nie dowierzała, że już za kilka lub kilkanaście dni odbędzie się jej wesele z Michałem, który czekał na nią z niecierpliwością od kilku tygodni. Przypomniała sobie niecierpliwość jego przynagleń, o których informowała ją niemal



codziennie swatka Buskowa. Przyśpieszyła kroku.

Michał od roku nie wstawał z łóżka. Opuchnięta noga stawała się z dnia na dzień coraz bardziej bezwładna. Leżał samotnie w pustej izbie. Bratowa, choć mieszkała zaledwie przez sień, zaglądała do niego rzadko i spoglądając nieżyczliwym wzrokiem wychodziła pośpiesznie. W spojrzeniach bratowej kryła się niechęć i jakieś wyczekiwanie. Odczuwał to wyraźnie, ilekroć wpadała do izby. Szczepan Bardys zaglądał do brata jeszcze rzadziej. I nie wiadomo, jak wyglądałyby losy Michała, gdyby nie święty rejentalny zapis, który zatwierdził mu sześć morgów i utrzymanie do śmierci na koszt Szczepana. Szczepan posiadł po ojcu całe, dwudziestopięciomorgowe gospodarstwo, uprawiał również Michałowe morgi, zbierał z nich plony, dawał jedynie bratu „utrzymanie". Michał leżąc od roku w łóżku wodził codziennie tępym wzrokiem po suficie i odczytywał z niego bezsens swojego życia. Kalectwo spadło na Michała niespodziewanie i zagrodziło drogę do ożenku i rodzinnego szczęścia. Jeszcze przed kilkoma laty dziewczęta spoglądały na niego życzliwiej, korciła ich gospodarka, ale teraz... Teraz szły do fabryk, do szkół po zawód, zapomniały o sześciu morgach i o kulawym Michale. Ale Michał nie rezygnował z ożenku. Zdawał sobie sprawę, że jedynie troskliwa opieka bliskiej osoby może uratować mu życie, które umierało powoli z godziny na godzinę. Przypominał sobie wszystkie znajome w okolicy biedne dziewczęta, stare panny, wdowy, brał pod uwagę najbrzydsze, bez powodzenia i zdawał sobie sprawę, że tylko te mogłyby się zgodzić na małżeństwo. Pamiętał o Weronce i któregoś dnia postanowił rozpocząć z nią, przy pomocy swatki Buskowej, małżeńskie pertraktacje.

Bardysowa nie opuszczała ani jednego majowego nabożeństwa. Biegła kłusem do kaplicy i kłusem wracała do domu. Dziś, mimo szczerych chęci, nie mogła się modlić. Klęczała przed ołtarzem, ale splecione palce trzęsły się jej i po raz nie wiadomo który przebierała te same paciorki różańca. Drżące jej usta wypowiadały słowa modlitwy, ale myśli były od modlitwy dalekie. Nabożeństwo dzisiejsze wlokło się jak nigdy w nieskończoność. Wyszła z kaplicy przed końcem litanii i pobiegła do domu szybciej niż zawsze. Jeszcze mrok nie zdążył siąść na konarach potężnych topoli przydrożnych, kiedy zjawiła się na podwórku. Szczepan zajęty wieczornym obrządkiem inwentarza spojrzał na zadyszaną żonę i nie zdziwił się wcale. Zobaczył w jej oczach złość i zdenerwowanie, przywykł jednak do wymyślań, gderań, nie były mu one nowiną. Wykręcił się i chciał się zabrać do roboty, ale chwyciła go za ramię.

— Stójże, niech ci opowiem, co mi ludzie donieśli — wykrztusiła i spojrzała w kierunku Michałowej izby. — Michał, ta pokraka, której śmierć w oczy zagląda, żenić się chce — mówiła szybko przyciszonym głosem. Szczepan słuchał cierpliwie słów żony, ale i jego zadziwiła ta wiadomość.

— Tak, tak, gospodarstwo ci pod nosem wyrośnie, nowy spadkobierca na ojcowiznę, sześć morgów diabli wezmą sprzed nosa. — I nie czekając, co powie na to Szczemógł uwierzyć jej słowom. Nie mogła mu zabronić małżeństwa, nie miała prawa. W przeddzień przy-

pan, wykręciła się w stronę chałupy i pogroziła pięścią.

— Dam ja ci małżeństwo, że czubkiem głowy ci ono wyjdzie.

W ciągu następnych dni zjawiała si w Michałowej izbie po kilka razy dziennie. Za każdym razem próbowała innej metody. Złością i dobrocią, perswazją, groźbą, prośbą chciała Michała przestraszyć, przekonać, przebłagać. Wszczynała przy tych okazjach wrzask i lament. Michał patrzył obojętnie na

bratową, zbyt dobrze ją znał, aby bycia Weronki zjawił się u Michała Szczepan. Wszedł do izby zamyślony, posępny. Usiadł obok łóżka, zapytał o zdrowie i chorą nogę. Z rozmowy widać było wyraźnie, że się namyśla, że brak mu odwagi, aby zacząć mówić o sprawie. Zaglądał raz po raz w oczy Michała, jakby chciał sprawdzić, czy brat darzy go zaufaniem, czy mu uwierzy. Był wyraźnie zakłopotany, marszczył czoło, urywał w połowie zaczęte zdanie, zaczynał je od nowa. Michała, jakkolwiek domyślił się zaraz, że brat przyszedł wypełnić misję, którą powierzyła mu żona, zaskoczyła nieśmiałość brata, spokojny jego ton i cień życzliwości w głosie. Starał się odgadnąć intencję brata. Naraz zdziwił się jego słowami. Szczepan mówił: — Widzisz, bracie, ja cię rozumiem, chcesz się żenić to się żeń. Masz rację, kobieca opieka ci potrzebna przy twojej chorobie. Ja od razu tak uważałem, tłumaczyłem mojej starej, ale ona ciągle swoje. Kobiety, mój drogi, nie przekonasz, jak sama żonata to już drugiego zrozumieć nie potrafi, że ten także chce się ożenić.

Michała wzruszyły do głębi te słowa. Były to pierwsze słowa zawierające współczucie, jakie usłyszał kiedykolwiek od brata. W ogóle od śmierci matki po raz pierwszy zwracano się do niego z uczuciem i sercem. Przerwał bratu:

— Widzisz, Szczepanie, ja nie chcę wam na przekór. Chcę tylko żyć, jak człowiek każdy.

Kiedy zaczął mówić, czuł, że coś go za krtań ściska i z oczu popłynęły mu dwie łzy.

— Ja wiem, ja rozumiem — ciągnął — że wam o ojcowiznę chodzi, o całość, żeby jej nie rozdrabniać, ale ja życie muszę ratować, Szczepanie.

Szczepan był teraz wyraźnie zadowolony z takiego przebiegu rozmowy. Dobrze wykalkulował, chwycił brata za serce. Chodziło mu teraz o to, aby rzecz zasadniczą przeprowadzić umiejętnie, ostrożnie. Rozgadał się więc na dobre i sprawę zasadniczą postanowił dopiero poruszyć przy samym końcu, na odchodnym, niby od niechcenia, jako mało ważną. Wstał z krzesła, ujął dłoń chorego i serdecznie uścisnął brata. Już miał wychodzić, przy samych drzwiach odwrócił się dopiero i powiedział:

— Masz rację, żeń się bracie, opiekę będziesz miał do śmierci. Moja robotą była zalatana, nie zawsze miała czas cię dopilnować. Radziłbym ci tylko jedno na koniec: cywilnego ślubu na wszelki wypadek nie potrzebujesz z nią brać.

Michał wzruszony serdecznością brata nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co miały oznaczać słowa „na wszelki wypadek", przytaknął więc bratu szybko.

— A pewno, na co mi tam cywilne śluby.

II

W półtora roku po weselu Michał umarł nagle. O wszystkim co tu napisałem, dowiedziałem się właśnie na jego pogrzebie, na który trafiłem przypadkowo.

Pogrzeb Michała Bardysa rozpoczął się normalnie, tak jak wszystkie wiejskie pogrzeby. O dziewiątej rano miała się odbyć msza żałobna. Około ósmej zaśpiewano pieśni żałobne, sąsiedzi wzięli trumnę na ramiona, wynieśli z chałupy i ustawili na wozie. Obok wozu stała Weronka, załamywała ręce, szlochała. Wyniesiono z chałupy jeszcze trzy wieńce ze świerczyny, położono na trumnie, i pogrzebowy kondukt ruszył w drogę.

N gle coś zadudniło w komorze przylegającej do Michałowej izby. Dudnienie było głośne, nawet ci, co szli na przedzie konduktu, słyszeli je wyraźnie. Ludzie przestali śpiewać, znieruchomieli. Kilku odważniejszych podeszło bliżej komory, ale dudnienie, a raczej bębnienie powtórzyło się po raz drugi i trzeci. I odważniejsi stanęli nieruchomo. Kilka kobiet uklękło pośpiesznie obok trumny i zaintonowało: „Wieczny odpoczynek racz mu dać panie". Nie pomogło, bebnienie nie ustawało. Ktoś zauważył sprytnie:

— Dusza o różaniec się dopomina, on zawsze na różańcu się modlił. Do trumny czym prędzej różaniec mu włożyć.

Uchylono pośpiesznie wieko trumny i wrzucono różaniec. Bez skutku. Mężczyźni stali obok trumny bezradni, kobiety zawodziły ciągle wieczny odpoczynek. Wszyscy odczuli w tym wydarzeniu siłę nieziemską, nadprzyrodzoną. Kondukt pogrzebowy z każdą chwilą rzedniał, wystraszeni sąsiedzi uciekali do swych pobliskich chałup.

Ktoś inny domyślił się nareszcie: — Kropidło ze święconą wodą, natychmiast kropidło dajcie! — krzyknął głośno. Ale zanim przyniesiono kropidło...

Miesiące, które upływały po Michałowym weselu, były dla obojga Bardysów miesiącami ciągłego niepokoju i zgryzoty. Bardysowa niemal codziennie spoglądała na brzuch Weronki. I choć nie dostrzegała żadnych zmian, przeżywała ciągłą trwogę. Spadkobierca, który miał w przyszłości sprzątnąć sprzed nosa Bardysów sześć morgów ziemi, nie przychodził na świat. Bardysowa nie dawała jednak za wygraną. Weronka mogła przecież z kimś innym, nie koniecznie z Michałem, po prostu z byle kim — aby tylko mieć dziecko, które by w razie śmierci chorowitego Michała odziedziczyło gospodarkę. Ta myśl trapiła ją jak świadomość bliskiego nieszczęścia. Wieczorami rozmawiała o tym ze Szczepanem i z Zośką, najstarszą córką, przykazała im pilnować Weronki na każdym kroku, za wszelką cenę. Sama włóczyła się za nią jak cień. Chodziła razem z nią do kościoła, na jarmark, w pole i nosiła z sobą narastający niepokój, że nie zdoła jej upilnować.

Michałową śmierć przyjęła Bardysowa z prawdziwą ulgą. Sprawa, która zatruwała jej życie od dwóch prawie lat, znalazła ostateczne rozwiązanie. I cieszyła się myślą, że będą mogli rozpocząć spokojny okres dorobku. Odpadała nareszcie troska, że sześć morgów ojcowizny trafić może w niepożądane ręce. Dalszy przebieg sprawy z Weronką widziała już jasno do końca. Od chwili śmierci poczuła w sobie lekkość, jakby kamień spadł jej z serca. Nie mogła przecież okazać tego na zewnątrz, aby ludzie czegoś złego sobie nie pomyśleli. W ciągu trzech dni, podczas których leżały w chałupie zwłoki Michała, zjawiała się często obok trumny, doradzała Weronce, nawet łzy ciekły jej od czasu do czasu po twarzy. Jedna tylko sprawa ją korciła. Tak, obok tego nie można było przejść obojętnie — doszła do wniosku po krótkim namyśle.

Od samego rana mżył tego dnia deszcz. W izbie, w której stała trumna, było duszno. Ludzie zaczęli przybywać na pogrzeb już o siódmej rano. Stawili się licznie — jedni dlatego, że z przyzwyczajenia chodzili na wszystkie pogrzeby wypełniając misję żałobnych śpiewaków, inni — że czasu mieli sporo, bo roboty w polu już nie było, a spodziewali się sutej stypy. Ustawiano się w kątach, w oknie, gdzie kto mógł, byle tylko nie moknąć na dworze. Wskutek tego w chałupie panował półmrok. Dwie świece, które paliły się na stole obok zmarłego, rzucały na ścianę wielki cień trumny. Na szczęście niebo zaczęło się powoli rozjaśniać, deszcz przestawał mżyć. Należało już wyruszać z pogrzebem. Sąsiedzi chwycili więc wieko trumny i nakryli nim Michałowe zwłoki. Jak zwykle w takich chwilach w izbie panowała idealna cisza, tylko spotęgowany szloch i lament Weronki odbijał się o tę ciszę jak wieczorne echo. Wynoszono trumnę z chałupy.

— Tak, moment teraz najodpowiedniejszy — pomyślała Bardysowa, która wstała dziś najwcześniej, pilnie śledząc przebieg pogrzebu i każdy ruch Weronki. Chwyciła ostrożnie za klamkę, otworzyła drzwi i zniknęła z drugiej strony. Wsunęła się do komory cicho, bezszelestnie, przez nikogo nie zauważona. Czekała na ten moment od kilku dni, ale nie było okazji. Kiedy komora była otwarta, Weronka kręciła się zawsze po izbie. Jeżeli wychodziła, to zaledwie na chwilę. Opuszczając zaś chałupę na dłuższy przeciąg czasu przekręcała klucz w zamku i zabierała z sobą. W ciągu tych trzech dni Bardysowa kilkakrotnie chwytała za

JAKUB PRAWIN

S T A L I N

Kapral Ałsinbajew, Baszkir, westchnął.

— Ech, gdyby nam tak dali rozkaz, poszlibyśmy aż do samego Berlina — jak wicher po stepie — powiedział swym śpiewnym akcentem. — Fryce już nie ci. A i my nauczyliśmy się wojować. Ckni się po prostu tak długo stać w obronie.

— Naczalstwo wie lepiej — wtrącił sierżant Skoriew — ale że czas by ruszyć naprzód, to prawda.

Lejtnant Kiszkin nic nie mówił, tylko kiwał głową.

Ach, jakby się chciało im powiedzieć, że tam na południu, w miejscu, gdzie Wołga tworzy kolano, w rejonie Krasnoarmiejska, już od dawna, od miesięcy zbiera się z trudem potężna grupa uderzeniowa. Do jeziora i miasta Elton wybudowano już linię kolejową, a teraz przybywają tam dywizja po dywizji, czołgi, sprzęt, ekwipunek. Dywizje podchodzą nocami, w ukryciu przed nieprzyjacielem do Wołgi, przez pustynny kraj, prawie 200 km. Przeprawiają się przez Wołgę, na którą jak na złość spłynęła kra, tak wcześnie jak nigdy w poprzednich latach. Ech, gdyby nie ta kra, kto wie, może życzenia Ałsinbajewa dziś już by się ziściły. A wszystko odbywa się w ukryciu, z niesłychaną ostrożnością, bo zaskoczenie, to połowa zwycięstwa... To wszystko chciałoby się im powiedzieć, ale...

— Ssst, cicho, nie wolno, tajemnica wojskowa. Zaskoczenie — to połowa zwycięstwa.

— Przyjdzie czas, to ruszymy — powiedziałem...

DOWÓDZTWO 62 ARMII PRACUJE

Pokazałem rozkaz kapitanowi i wsiadłem na pokład „Kazbeka". Nad Wołgą latały nieprzyjacielskie samoloty, w powietrzu wisiały rakiety świetlne i rzucały trupie światło na okolicę. Celowniczy karabinów maszynowych wprawną ręką zestrzeliwali je po kolei.

— Świeczki stawia, łobuz — mruknął kapitan. — Pogasimy i zaraz ruszymy, bo już późno, ostatni rejs dzisiaj.

Przybijaliśmy do wschodniego brzegu za zasłoną dymną, bo już dniało. Przedzierałem się przez stepowe burzany, wzdłuż brzegu, jakie 3 km do sztabu 62 armii. Rozłożył się na samym brzegu, na stoku niewielkiego pagórka i w sąsiadującej kotlince, maskowanej rzadkim zagajnikiem. Cały rejon i przebiegające obok drogi były w tej chwili pod obstrzałem ciężkich moździerzy. Padałem na ziemię i wykorzystując nierówności gruntu przemykałem się naprzód.

Znana była w Stalingradzie historia, która wyglądała tak. Rzeczka Caryca wpadała do Wołgi w pasie obrony Rodimcewa, tworząc głęboki, gęsto zarośnięty jar. Otóż nieprzyjacielowi udawało się od czasu do czasu dorwać w tym miejscu do Wołgi, albo co najmniej wysuwać ciężkie moździerze i omiatać z nich po drugiej stronie rzeki p-d 62-ej i linie dowozu. Ale na podorędziu stała zamaskowana katiusza, wypatrywała pozycje ogniowe przeciwnika i jedną salwą je likwidowała. Tak też się skończyła i tym razem ta zabawa. Nagle zagrały w pobliżu „diabelskie organy" — tak Niemcy nazywali katiuszę „Teufelsorgel" — i był spokój.

Pokazałem gen. Czujkowowi i członkowi rady wojennej armii list; zawierał podpisy żołnierzy, sierżantów, oficerów, Rosjan, Ukraińców, Kirgizów, Żydów, Baszkirów, komunistów i bezpartyjnych. Zaakceptowali. Następnie udałem się do oddziału operacyjnego sztabu dla przekazania zebranych informacji i udzielenia żądanych wyjaśnień.

Dowództwo i sztab 62-ej opracowali i stosowali oryginalną taktykę walk w Stalingradzie, przystosowaną do warunków, mieszaninę taktyki polowej i walk ulicznych. Przeważały więc niewielkie samodzielne grupy operacyjne, szturmowe, nasycone ciężkim sprzętem, artylerią i bronią saperską. Przydzielone działa biły oczywiście ogniem bezpośrednim, a były wśród nich nie tylko armaty 76 mm, ale często i haubice 122 mm. Wyniki tej taktyki były doskonałe. Specjalną troską sztabu była łączność, a więc możność operatywnego dowodzenia, natychmiastowego reagowania na każde pociągnięcie wroga, organizowania współdziałania grup i broni.

Właśnie opracowywali szereg bieżących operacji: ostateczne zamknięcie dziury w pasie Carycy, oraz podobnej dziury w rejonie obrony 39 dyw. gwardii, trzymającej fabrykę „Czerwony Październik"; przebicie się i nawiązanie łączności z grupą Gorochowa.

— Zanim do czego dojdzie — Czujkow mrugnął porozumiewawczo — musimy dbać o nasze codzienne, bieżące interesy.

Na placyku przed ziemiankami pod osłoną drzew i maski artyleryjskiej kontynuowano przerwane obstrzałem przedstawienie frontowego zespołu pieśni i tańca.

Odmeldowałem się, śpieszno mi było do zarządu politycznego.

— „Do swidania na Unter den Linden" — śpiewano na improwizowanej estradzie.

Czujkow ścisnął mi dłoń. Nie sądziłem wtedy, że słowa refrenu ziszczą się dosłownie, że trzy lata później spotkamy się na Unter den Linden.

HISTORYCZNE NATARCIE

20 listopada 1942. Niezapomniany dzień. Nie spaliśmy z Kolskim przez całą noc. Szeptaliśmy i wymienialiśmy wiadomości, że wojska Frontu Dońskiego są już od 24 godzin w akcji, że nasz front dziś zaczyna. 4.30 pobudka, o 5 zbiórka. Wtajemniczeni byli bladzi ze zdenerwowania, pozostali dziwili się z powodu niespodzianej i wczesnej pobudki.

Przed frontem oddziałów sztabowych członek rady wojennej Frontu Stalingradzkiego odczytywał historyczny rozkaz Stalina o natarciu, o pierwszej wielkiej ofensywie, która rozstrzygnęła losy 2-ej wojny światowej.

Natarcie grupy uderzeniowej wychodzi z rejonu styku 64 i 57 armii, przygotowanie artyleryjskie rozpoczyna się o 8 zero zero. Kierunek natarcia północno-zachodni, cel natarcia — miasto Kałacz, które należy osiągnąć jutro o określonej godzinie pod wieczór. Tam nastąpi spotkanie z wojskami Rokossowskiego, które miały niesłychanie trudne zadanie dwukrotnego forsowaniu Donu, ze wschodu na zachód i znów pod Kałaczem z zachodu na wschód. Lewe skrzydło 57-ej i prawe skrzydło 64-ej armii oraz cała 51 przeprowadzą dla osłony i wsparcia głównego uderzenia operacje maskujące w południowo — względnie północno-zachodnim i zachodnim kierunku.

Wrażenie w szeregach było olbrzymie. Zahartowane, stwardniałe w bojach twarze zmiękły ze wzruszenia, po niejednej potoczyły się łzy. Nareszcie!! Nareszcie będziemy **bić i gnać faszystów przed siebie,** na zachód.

W Środkowej Achtubie zawrzało. Rozjeżdżaliśmy się z zadaniami każdy do innej armii, Kolski do 57, ja do 62. Tym razem mu zazdrościłem, jechał na sam teatr operacji.

Do sztabu wpadł dowódca eskadry lotniczej, wycofanej z akcji dla przeformowania i uzupełnienia sprzętu. Pozostał im tylko jeden aparat. Prosił, aby pozwolono im latać na nim i zrzucać Niemcom ulotki: „Jesteście otoczeni, opór wasz jest beznadziejny, poddajcie się". To będzie satysfakcja!

Dzień był, kiedy zatopiony w myślach zbliżałem się do Wołgi. Ale operacja! 350 tysięcy doborowych, kadrowych żołnierzy niemieckich wpadnie w potężne kleszcze, podwójne Kanny.

Śmiać mi się chciało, przypomniałem sobie przesłuchanie wyższego oficera niemieckiego, wziętego do niewoli. Zachowywał się butnie, był pewien zwycięstwa, uważał Hitlera za wielkiego dowódcę. Dlaczego więc nie zwyciężyli dotąd, mimo takich wysiłków i strat, mimo niezaprzeczonych sukcesów?

— Bo nie udały nam się ani razu podwójne Kanny — odpowiedział bez zająknięcia, jakby przygotowany na to pytanie.

Zdumieliśmy się, myśleliśmy, że z nas kpi.

— Co takiego — spytał płk Tiulpanow już zły.

Powtórzył to samo z najpoważniejszą miną. Wtedy zaczęliśmy się śmiać.

Niemiec się obruszył.

— O tym, o podwójnych Kannach marzą wszyscy nasi generałowie, a panowie się śmieją — powiedział obrażony...

No teraz będą mieli podwójne Kanny na własnej skórze, prawdziwe i niezawodne, według stalinowskiej strategii.

Z północy dochodził coraz wyraźniejszy, głuchy, nieprzerwany huk dział, odgłosy walk zbliżających się oddziałów Rokossowskiego. Także od południa słychać było — jeszcze odległe, niewyraźne — echa rozpoczynającej się ofensywy. W powietrzu płynęła majestatycznie duża grupa ciężkich bombowców, osłaniana przez szybkolotne

Ilustrowała DANUTA KUCZBORSKA

R Ó T

klamkę, ale komora była zawsze zamknięta. Komora nie posiadała żadnego okienka i mrok panował w niej zupełny. Po omacku, nerwowym ruchem odnalazła kufry i skrzynie. Uświadomiła sobie, że rozporządza zaledwie kilkoma minutami. Wyniesie wszystko z komory, ukryje i pójdzie z pogrzebem, jak gdyby nigdy nic. Weronka na pewno zapomni o niezamkniętej komorze. Powrócą z pogrzebu, zastaną otwartą komorę, opróżnione kufry i skrzynie. Zginęło, kamień w wodę. Nikt z domowników nie wziął, wszyscy byli na pogrzebie. Musiał ktoś z obcych ukraść. Zanurzyła pośpiesznie dłonie w kufrze. Wyjęła buty, pierzynę, dwie poduszki i dużą wełnianą chustkę. Potem ze skrzyni wydobyła futro, duże sukienne futro z karakułowym kołnierzem. Rzeczy te zapisał nieboszczyk dziadek Michałowi. Nie mogła przeboleć tego zapisu. Leżały w komorze latami bezużytecznie. Teraz to wszystko Weronka mogłaby przywłaszczyć, wynieść, spieniężyć. Nie wydarłby jej nikt tego z gardła. Podeszła teraz ostrożnie do drzwi i delikatnie je uchyliwszy zajrzała przez szparę do izby. Chciała sprawdzić, czy nikogo w niej już nie ma. Izba była pusta, usłyszała teraz pieśń pogrzebową, którą śpiewano na dworze. Zamknęła ostrożnie drzwi i jęła pośpiesznie zbierać powyjmowane przedmioty. Miała już wychodzić, gdy naraz usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Osłupiała.

Już trumna stała na wozie, kiedy Weronka spostrzegła, że ściska w dłoni klucz od komory. Otwierała nim komorę przed godziną, kiedy na półkach szukała starej Michałowej książki do nabożeństwa. Książkę tę umieściła w martwych dłoniach męża. Przypomniała sobie w tej chwili, że należy również zamknąć otwartą komorę. Odbiegła więc na chwilę od trumny, przekręciła klucz w zamku, po czym umieściła go w kredensie. Nie zabierała go z sobą, mogła zgubić podczas pogrzebu.

Bardysowa, zanim sobie uświadomiła swą sytuację, trzęsąc się jak w febrze, stała przez kilka sekund nieruchomo. Pojęła jednak szybko, że należy natychmiast szukać wyjścia, zanim kondukt pogrzebowy zdąży odejść. Raptem dostała zawrotu głowy, jak zawsze, kiedy z wielu różnorodnych myśli miała wybrać jedną, najsłuszniejszą. Nie zastanawiając się więc podbiegła do drzwi i zaczęła w nie walić pięścią z całej siły. Kiedy zorientowała się, że nikt nie śpieszy jej z otwarciem, zaczęła błagalnym głosem:

— Otwórzcie mi, moi drodzy, otwórzcie!

Zanim więc przyniesiono kropidło — dusza przemówiła znajomym głosem Bardysowej.

III

W kilka dni później Weronka otworzywszy komorę zastała opróżnione kufry i skrzynie, mimo że drzwi od komory były zamknięte i klucz nosiła przy sobie w woreczku zawieszonym na szyi razem z pieniędzmi. Popatrzyła więc na puste kufry i skrzynie, na których dnie leżały stare koszule, kalesony, cholewy od butów i machnęła ręką. — Zabrałaś tyle, zabierz i resztę — mruknęła pod nosem. Klucza od komory nie chowała już do woreczka, zostawiła go w zamku. Zbyt wiele przeszła w swoim życiu, aby miała rozpaczać, nie wiedziała, co z sobą teraz począć, dzień i noc siedziała w izbie, nie pokazywała się ludziom. Nie myślała nawet, jak ułożą się jej dalsze losy, zobojętniała na wszystkie wypadki, które się wokół niej rozgrywały. I nawet nie przypuszczała, że w tym czasie bratowa z zadziwiającymi szczegółami obmyślała dalsze koleje jej losu.

Minęło ze dwa tygodnie od pogrzebu, kiedy jednego wieczoru Bardysowa zaprosiła Weronkę do swojej izby. Więc poszła, usiadła na krześle, które jej podsunięto i nawet w pierwszej chwili nie spostrzegła, że w chałupie jest kilka obcych osób. Stół zastawiła Bardysowa obficie jadłem z butelką wódki w środku, jak na większą rodzinną uroczystość. Kazali pić wódkę Weronce razem ze wszystkimi, więc piła. Wobec tych wydarzeń, które obok niej zachodziły, była bezsilna, czuła, że nie może odegrać w nich żadnej roli. Piła więc kieliszek jeden, drugi, trzeci, zamąciło jej się w głowie, poweselała. Bratowa siedziała obok niej z prawej strony. Przysunęła się teraz do Weronki jeszcze bliżej i zaczęła głosem spokojnym, co się rzadko u niej zdarzało.

— Bratowa, posłuchaj: każdy żyć chce. Ludźmi przecież jesteśmy, rozumiemy, i nie pomyśl sobie czasem, że z domu chcemy cię wypędzić, Pan Bóg by nas za to pokarał. Choć prawo byśmy na to mieli, nie byłaś prawną żoną Michała i do tego, co po nim zostało, nie możesz mieć pretensji. Musisz wiedzieć, że nieprawne żony nie dziedziczą. Wypędzać cię jednak, broń Boże, nie mamy zamiaru, chcemy po ludzku tę sprawę rozwiązać. Krótko mówiąc, sama żyć nie będziesz, jak ten kołek w płocie. Będziesz razem z nami, razem będziemy jeść z jednego garnka i razem robić. W ten sposób i tobie będzie łatwiej, i nam. Zawsze co razem to nie w pojedynkę — wiadomo. Krzywdy ci tu nikt nie zrobi, do śmierci możesz być razem z nami.

Zamilkła. Oczy utkwiła w Weronce, która chwiała się pijana na krześle, czekała teraz na jej decyzję. Ważność chwili, w której Bardysowa zawierała umowę na pracę, uznali wszyscy, bo zamilkli i patrzyli na kobietę siedzącą naprzeciw z dostojną powagą. Weronk słuchała wprawdzie bratowej, ale sens słów nie bardzo docierał do jej świadomości, toteż kiedy spostrzegła, że milczenie się przeciąga, zrozumiała dopiero, że to wszyscy czekają na jej decyzję. Przestraszyła się, że znów ma się zastanawiać nad swoim losem, czego tak uparcie ostatnio unikała. Nie, tym razem ma już tego dość, nie będzie sobie łamać głowy. Niech się dzieje co chce, niech inni decydują, niech martwią się bez jej udziału. Milczenie dłużyło się, Bardysową zniecierpliwiło to i podjęła na nowo:

— Widzisz, oszukać cię tu nikt naprawdę nie chce, dlatego przy świadkach to mówię — tu wskazała ręką.

Weronka podniosła powieki i spojrzała na siedzących.

— Niech więc będzie, jak chcecie — wyjąkała. I wypito potem następny toast aby w rodzinie nie było więcej kłótni i niesnasek.

Bardysowa wyjeżdżała teraz regularnie trzy razy w tygodniu do Łodzi. Na samą noc odwoził ją Bardys obłożoną bańkami ze śmietaną do pociągu. Przyjeżdżała do miasta wieczorem i o świcie rozsprzedawała w mig śmietanę. Około południa była już w chałupie, kładła się spać, aby nazajutrz z rana przygotowywać towar do następnej wieczornej podróży. Śmietany miała wiele, znała tajne arkana jej produkcji. I nawet gdy zdarzało się, że ją przyłapywano na oszukaństwie, kalkulowało się zapłacić mandat karny i prowadzić interes dalej.

Weronka była w domu całą gospodynią. Obrządzała gospodarstwo, dopilnowywała jak swojego. Bardysowa była zadowolona z bratowej. Ale wiosną rodzinna harmonia została z miejsca zakłócona. Obok zajęć domowych trzeba było wychodzić do pracy w pole. Bardysowa nadal oddawała się bez reszty podróżom do Łodzi, obowiązki Weronki zwiększyły się więc niepomiernie. Mimo że dwoiła się i troiła, nie zawsze dawała sobie radę. Coraz częściej spotykały ją teraz wymówki, że to, że tamto zostało przez nią zaniedbane. Weronka słuchała tych wymówek milcząco, uświadamiała sobie powoli, że pełni znów jak dawniej funkcję służącej, ale przywykła do pracy, nie miała odwagi się usprawiedliwiać ani bronić.

Któregoś wiosennego dnia Weronka obrządziwszy inwentarz poszła w pole, czuła jednak, że coś jej wyraźnie dolega. Mdliło ją i bolała głowa. Około południa porwały ją wymioty, przywlokła się więc do chałupy i rzuciła na łóżko.

Bardysowa powróciła tego dnia do domu później niż zwykle, niezadowolona. Nie powiodło jej się. Oprócz zapłacenia wysokiego mandatu przesiedziała pół dnia w areszcie. Weszła do sieni i od razu spostrzegła, że bańki stoją puste. Nie skręcając do chałupy pobiegła do obory. Tak, krowy stały niewydojone. Wpadła w gniew. Kiedy zobaczyła od progu chałupy Weronkę leżącą na łóżku, nie mogła się już pohamować. Dopadła do łóżka.

— Cóż sobie, do cholery, myślisz! Krowy mi zaniedbujesz. Leżysz tu na łóżku, a one stoją niewydojone.

Bardysowa poczerwieniała ze złości, wygrażała pięścią nad chorą. Weronka słuchała tych wymyślań, ale coś się wewnątrz jej kotłowało, coś burzyło. W końcu uniosła głowę, ale nie miała sił, aby się usprawiedliwiać.

— Co chcecie, żebym wam harowała za trzy służące, w zamian za łyżkę strawy, za byle co — powiedziała.

Bardysowa po tym, co usłyszała, wpadła w furię.

— A coś ty tu, gołodupcze, wniosła, żeby się jeszcze upominać... Majątek...! Morgi...! Tysiące! Mój ojciec nieboszczyk musiał przed wojną ciężko zapracowanych piętnaście tysięcy wnieść, abym dziś była gospodynią, rozumiesz? Łaski mi tu nie robisz. Może ja będę pracować na ciebie, a ty leżeć. Nie podoba ci się, to proszę, drzwi w każdej chwili masz otwarte.

Jeszcze Bardysowa krzyczała, jeszcze trzęsła się ze złości, jeszcze wygrażała pięścią, kiedy Weronka po krótkim namyśle zwlokła się z łóżka i zaczęła zwijać swoje szmaty.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Weronka z węzełkiem wychodziła z Bardysowej chałupy. Szmaty niosła w dłoniach te same, z którymi przed dwoma laty opuszczała dom rodzinny. Szła drogą tą samą, po której tak niedawno biegła kłusem, aby szczęśliwszy los uchwycić za skrzydła. Szła drogą wolno, nie śpieszyła się i nie rozmyślała jak wtedy. Wiedziała, że swoim rozmyślaniem nie zmieni świata, który wszędzie był dla niej jednaki. I co w tym najdziwniejsze, że wszystkie jego siły sprzęgły się właśnie przeciw Weronce, przeciw biednej dziewczynie z głodnego wiejskiego zagonu.

Stanęła znów na tym wzgórzu, z którego przed dwoma laty żegnała spojrzeniem rodzinną wioskę i zagrodę. Stanęła i zdziwiła się. Czyżby zbłądziła? Obejrzała się więc wokoło. Nie, nie zbłądziła, ten sam zagajnik, te same jeziora w oddali — i wzgórze, na którym stała, to samo. Zbyt dobrze znała każdą jego bruzdę, każdy pagórek i załamanie, by mogła nie pamiętać. Weronka przywykła do rzeczy niecodziennych, niezwykłych, ale to, co teraz widziała, przestała rozumieć, nie dowierzała samej sobie. Z tego wzgórza patrzyła niejednokrotnie w dzieciństwie na swą rodzinną zagrodę, na wieś, na okolice. Pamiętała ten obraz, mogłaby go w każdej chwili na papierze narysować, nie zmieniał się w ciągu wielu lat. Ale teraz ujrzała zupełnie co innego, chałupy nie wyglądały już jak stado rozproszonych kurcząt. Po niektórych nie było śladu, inne skryły się za czerwienią nowych, murowanych domów. Czerwień nowych domów była w obecnym obrazie wsi najbardziej uderzająca, a także słupy, na których rozsnuto elektryczny kabel. Ale gdzież rodzinna chałupa — pomyślała — i przebiegła wzrokiem po wsi. Nie znalazła rodzinnej chałupy, stał natomiast w pobliżu murowany domek, taki jak inne. Jakże to było niepodobne do tamtego obrazu wsi sprzed dwu lat...

I nagle ruszyła ze wzgórza. Popędziła w kierunku tego nowego obrazu, który urzekł ją swoją niezwykłością.

Zachodziło słońce. Ostatnie promyki dopalały się na szczytach świerków pobliskiego zagajnika. Ze spółdzielczych pól wracały traktory.

Józef Grabowiec



PABLO NERUDA

Tłumaczył JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Najwyższa nauka życia

(Fragment poematu „Z.S.R.R.")

Stalingrad ma skrzydła
wysuszone przez upały lata, ładne
rodzą się tu osiedla,
a miasto zwyczajne,
ludzie się śpieszą
do swej roboty,
pies przechodzi
dniem zakurzonym,
dziewczyna biegnie
z papierem w ręku,
nie ma nikogo
aż po brzeg Wołgi
czarno płynącej,
a dom za domem
wznosi się w górę
z piersi człowieka,
i wszystko wraca: znaczki pocztowe,
skrzynki do listów,
drzewa,
powrócą dzieci,
szkoły,
dawno wróciła miłość,
matki
już urodziły —
— powrócą wiśnie
zwisające,
i wiatr powróci
wiejący,
a wtedy?
Tak, to to samo,
nie ma wątpienia,
tu była linia,
tutaj ulica,
tu skrzyżowanie,
metr i centymetr,
na których nasze życie i sens
wszystkich naszych żyć
ocalono
krwią,
tutaj pękł węzeł
zaciśnięty na szyi
historii,
tu się to stało, choć wierzyć trudno,
że możemy iść ulicami,
iść ulicami i widzieć
psa i dziewczynę,
napisać list,
wysłać depeszę,
ale to właśnie może
dlatego,
dla tego dnia podobnego
do wszystkich innych dni,
dla tego słońca jednakowo
przyświecającego
pokojowi ludzi
zrodziło się to zwycięstwo
w tym tutaj popiele,
w uświęconej ziemi.
Dzisiejszy chlebie, dzisiejsza książko,
świeża sosno,
dziś rano posadzona,
świetlista alejo,
świeżo przeniesiona z papieru,
na którym inżynier
rysował ją w wichrze wojennym,
dziecino idąca, psie
przechodzący dniem zakurzonym,
och, cuda,
cuda krwi,
cuda stali i partii,
cuda naszego nowego świata!
O gałązko akacji z kolcami i
kwiatami,
gdzież bardziej, gdzież bardziej,
możesz pachnieć
niż w tym miejscu, gdzie wszystkie
zapachy wykreślono.

gdzie zawaliło się wszystko
oprócz człowieka,
człowieka tych dni,
żołnierza radzieckiego!
O wonna gałęzi,
pachniesz
tutaj
bardziej niż wszystkie wiosny
razem,
pachniesz tutaj człowiekiem
i pachniesz nadzieją,
bo tutaj, gałązko akacjowa,
nie może cię pochłonąć płomień,
ani pogrzebać cię wiatr śmierci,
bo tu co dnia zmartwychwstajesz
i nie umierasz ani razu.
A dziś w twoim zapachu tkwi
nieskończoność człowiecza,
dnia wczorajszego i jutrzejszego,
i pojutrzejszego,
która będzie powracać nam w
kwietnej wieczności.
Jesteś jak fabryka traktorów,
co nam rozkwitła na nowo,
fabryka wielkich metalowych
kwiatów,
co się zagłębia w ziemię
po to aby ziarno
mnożyło się tysiąckrotnie.
Przecież i ta fabryka
była popiołem,
zgiętym żelastwem, zakrwawioną
szumowiną wojny,
a jednak serce jej nie zamarło,
nauczyło się umierać i rodzić
na nowo.
Stalingrad dał światu całemu
najwyższą naukę życia,
rodzić się, rodzić, rodzić.
i rodził się
umierając,
znikał
rodząc,
upadał i wstawał
z promieniem w dłoni,
przez całą noc krew z niego
spływała,
a o świtaniu
mógł swojej krwi użyczyć
wszystkim miastom świata,
bladł wraz z czarnym śniegiem,
upadał ze wszystkimi śmierciami
i kiedyś nań patrzył,
aby ujrzeć jak pada, kiedy
opłakiwaliśmy
koniec tej twierdzy,
ona uśmiechała się do nas,
Stalingrad
uśmiechał się do nas,
a dzisiaj
śmierć go porzuciła,
i tylko czasem widać kilka ścian,
parę zwojów żelastwa
zbombardowanego i poskręcanego,
czasem tylko spotkasz ślad
podobny do dumnej blizny,
a dzisiaj wszystko jasne,
księżycowe, szerokie,
wyraźne i białe,
tylko gdzieś w górze
gałązka akacji,
liście, kwiaty i obronne kolce,
intensywna wiosna
Stalingradu,
niezwyciężony aromat
Stalingradu.

G R A D

„Jaki". Jak konie rasowe zataczały one wokół bombowców skomplikowane esy-floresy, nie mogąc przystosować się do ich powolnego lotu.

W sztabie armii panował ruch. 62-a miała na razie stać w miejscu, hamować napaść przeciwnika i niepokoić go ciągłymi wypadami. Opracowywano plany operacyjne, wydawano rozkazy.

W ziemiance szefa wydziału politycznego odbywała się odprawa instruktorów dywizyjnych. Omawiano metody wzmożenia pracy destrukcyjnej wśród wojsk przeciwnika: nadawanie komunikatów o sytuacji przez rupory, rozrzucanie ulotek itd. — dla poderwania morale jego wojsk.

Udałem się do 95 dywizji wojsk NKWD, towarzyszył mi kpt. Nikitin, st. instruktor politoddziału tej dywizji, powracający z odprawy. Przeprawialiśmy się w jasny dzień, faszyści nie przeszkadzali, mieli teraz inne kłopoty, wyraźnie stracili głowę. Wojska dywizji NKWD dokazywały cudów waleczności, przez wszystkie te ciężkie dni ani na metr nie ustąpiły przed zaciekle atakującym wrogiem. Skontrolowałem jeszcze stan przygotowań w 45 dyw. i zatrzymałem się w 39 dyw. gw., broniącej zakładów metalowych „Czerwony Październik". Tam szykowała się na wieczór lokalna operacja dla wyparcia wroga, który przerwał się do Wołgi, i nawiązania z powrotem kontaktu z sąsiadem na południu, z 284-ą dywizją.

Operacja nie była łatwa. Hitlerowcy usadowili się w części zajętych zabudowań fabrycznych, głęboko w ziemi, i umocnili je.

Oficerowie batalionu, który miał przeprowadzić szturm, schodzili się na odprawę. Jeden z oficerów politycznych, sekretarz partyjnej organizacji, pokazał plik na prędce zapisanych skrawków papieru. Były to podania o przyjęcie do partii. Najlepsi żołnierze, komsomolcy i bezpartyjni, w obliczu zbliżającej się bitwy prosili o przyjęcie w szeregi wielkiej partii Lenina - Stalina.

— Jeśli zginę — oświadczali — uważajcie mnie za komunistę.

W ten sposób wyrażali swe bezgraniczne oddanie sprawie socjalizmu.

Dowódca dywizji udzielał właśnie ostatnich wskazówek oficerom batalionu szturmowego.

Siadłem na uboczu i wyjąłem otrzymany z domu list, którego nie zdążyłem doczytać do końca. W liście była fotografia. Wszyscy podnieśli głowy i zwrócili się do mnie.

— Fotografia od swoich?

— Tak — odpowiedziałem — żona i córka.

Kto zrozumie, co znaczy na froncie fotografia z głębokiego zaplecza? Ten widomy znak łączności ze światem, z życiem! Tylko żołnierz frontowy potrafi to zrozumieć i odczuć.

Fotografia krążyła z rąk do rąk.

— Gdzie przebywają?

— W Samarkandzie.

— Żona i córka — powtarzali machinalnie, oglądając z zainteresowaniem obce i nigdy nie spotkane twarze, jakby były im bliskie i drogie.

Myśleli zapewne o swoich, przebywających w Kokandzie czy Ufie, albo z bólem wspominali o tych z Ukrainy czy Białorusi, którzy nie zdążyli ujść przed okrutnym najazdem hitlerowskim i o których losie nic nie wiedzieli.

Odezwała się artyleria, potężny nalot ogniowy na pozycje wroga. A oni wciąż oglądali, zatopieni we własnych myślach. Wreszcie oddali zdjęcie. Uścisnęliśmy odchodzących i wyszliśmy na punkt obserwacyjny.

Batalion wychodził z okopów i pod osłoną ognia artyleryjskiego podpełzał na pozycje wyjściowe pod sam wał własnego ognia.

Byli to sybiracy. Znakomity, małomówny, uparty żołnierz, doskonali strzelcy. Mrozów się nie bali, a dochodziły one tam do 40 st. Kiedy my chodziliśmy w walonkach, okutani w półszubki i uszanki, oni w płaszczach rozpiętych, z niezawiązanymi uszankami, powtarzali: „Jaki tu u was łagodny klimat".

W powietrze uderzyły rakiety, dwie czerwone, jedna zielona, znak, aby przenieść wał ognia w głąb nieprzyjacielskiej obrony.

— Za rodinu, za Stalina, urrrra!

Sybiracy podnieśli się i jak huragan runęli do szturmu.

...Na front przybyli niemieccy towarzysze, Wilhelm Pieck, Walter Ulbricht i poeta proletariacki Weinert. Przemawiali przez głośniki na przednim skraju do otoczonych Niemców, wykazywali beznadziejność ich położenia, niesłuszność udziału w zbrodniczej, napastniczej wojnie Hitlera i niemieckich faszystów, wzywali do zaprzestania bezcelowego rozlewu krwi, do złożenia broni.

Walter Ulbricht przemawiał. Przypomniał, że jest legalnie wybranym przez nich posłem do Reichstagu, że Hitler z rozkazu niemieckich monopolistów i międzynarodowej reakcji unieważnił jego mandat i skazał go na banicję. Opisywał sytuację na froncie, przedstawiał zbliżający się nieuchronnie pogrom hitlerowskich kohort, apelował do sumienia proletariackiego, do sumienia wszystkich uczciwych Niemców - patriotów, aby przyśpieszyli własne wyzwolenie, zaprzestali beznadziejnej walki, uchronili się od zagłady, przeszli na naszą stronę.

— Jeśli was interesują moje słowa, dajcie trzy krótkie serie z karabinu maszynowego — dodawał.

Następowały trzy krótkie serie. I Walter Ulbricht mówił dalej. Aż zaniepokojone dowództwo niemieckie, dowiedziawszy się o tym, obstrzałem artyleryjskim przerywało transmisję.

Jeńcy podawali, że sytuacja w kotle jest beznadziejna. Dzienna racja chleba wynosiła 100 g, nastroje były pod psem. Goebbels starał się podtrzymywać ich na duchu zakłamaną propagandą: że toczą się pertraktacje i pokój zostanie zawarty jeszcze w grudniu, a do tego czasu należy za wszelką cenę wytrwać; że nadchodzi odsiecz, która na pewno zdąży na Boże Narodzenie.

Mannstein rzeczywiście maszerował z południa z potężną armią pancerną. Podszedł, a właściwie dowództwo radzieckie dopuściło go na 20 km pod Stalingrad i wciągnęło w kocioł. I wtedy, w połowie grudnia, uderzyły na niego od wschodu części 64 i 57 armii; od północnego zachodu przerzucona w ciągu jednej nocy przez wąski pas nad Donem 2-a szturmowa armia, licząca 14 w pełni zmotoryzowanych dywizji; od południowego wschodu i południa części 51-ej armii i korpus pancerny, który obszedł nieprzyjaciela po bezdrożach stepów kałmuckich i wyszedł mu na tyły. Ugrupowanie Mannsteina zostało zniesione.

RADOSNY SYLWESTER

Sylwester 1942 roku, najpiękniejszy sylwester w moim życiu. W Środkowej Achtubie stał długi sznur samochodów. Sztab i zarząd polityczny Frontu Stalingradzkiego zwinął swoją siedzibę i ruszał na południe.

Nastąpiło przegrupowanie. 62 i 64 armię dołączono do armii byłego Frontu Dońskiego, dowództwo nad całością objął gen. Rokossowski z zadaniem zlikwidowania otoczonych oddziałów niemieckich.

57, 51 i 28 armia, oraz 2 szturmowa utworzyły nowy Front Południowy, do którego miały dotrzeć dwie armie Frontu Północno-Kaukazkiego, znajdującego się również w ofensywie. Zadanie: wyzwolenie Rostowa i Donbasu.

Na dworze panował trzaskający mróz, powietrze było krystalicznie czyste. Zawarczały motory, kolumna ruszyła. Ludność żegnała nas ze łzami w oczach. Łączyły nas więzy wspólnie przebytych, ciężkich, ale zwycięskich dni, łączyły nici osobiście zadzierzgniętych sympatii. Po drodze spotykaliśmy długie kolumny jeńców.

Po drugiej stronie Wołgi artyleria przeciwlotnicza biła do ciężkich, niezgrabnych samolotów transportowych Ju 52 jak do kaczek. Kapralska strategia Hitlera wymyśliła beznadziejną próbę zaopatrywania otoczonego ugrupowania z powietrza.

— Ile strąciliście dzisiaj? — pytano dowódcę dywizji p-lot.

— 90 kilka, dociągniemy do setki — odpowiedział.

Takie było pokłosie: 94, 98, 102, 104 dzień w dzień. Głupi kapral! Chciał się mierzyć z geniuszem Stalina.

— „Do swidania na Unter den Linden" — brzmiał wokół chóralnie refren piosenki. Kolski i ja wpadliśmy zgodnie w ogólny chór.

— „Naprzód na zachód" — wołały napisy na drogowskazach.

Spojrzeliśmy z Kolskim na siebie ze wzruszeniem.

Rozpoczęliśmy marsz do naszej umęczonej, walczącej Ojczyzny.

Jakub Prawin

CZESŁAW PETELSKI

Trzy powieści idą na ekran

Nad trumną zmarłej dziedziczki i właścicielki kamienicy płacze „człowiek z ludu" — kamerdyner, płacze również i rozpacza sterana pracą kobiecina — lokatorka z poddasza: „Mojej pani płacze"

— Służyliście jej?

— Nie, ona nam służyła.

Tak oto kończył się w wersji filmowej „Wrzos" zrealizowany przed wojną według powieści M. Rodziewiczówny.

Niechlubne mamy tradycje przenoszenia utworów literackich na ekran. Film kapitalistyczny adaptował szmatławe, brukowe powieści, odpowiadające gustom drobnomieszczaństwa — w stylu osławionej „Trędowatej" — głoszące i gloryfikujące ideologię burżuazji. Niekiedy wartościowe utwory literackie stawały się pretekstem dla scenariuszy znacznie odbiegających od pierwowzoru. Powodem tych adaptacji był atrakcyjny tytuł lub nazwisko autora, które miały przyciągnąć publiczność, „zrobić kasę". Wśród wielu adaptacji, stanowiących około 40 proc. produkcji (w niektórych latach cyfra ta powiększyła się do 60 i 70 proc. — w roku 1938 ponad 75 proc.), trudno znaleźć bodaj kilka wartościowych pozycji „Strachy" E. Cękalskiego i K. Szołowskiego wg powieści M. Ukniewskiej, „Ludzie Wisły" A. Forda i J. Zarzyckiego według powieści H. Boguszewskiej i J. Kornackiego pt. „Wisła" — i to chyba wszystko. Film przedwojenny zdecydowanie obrzydził i zdyskredytował zarówno w oczach twórców jak i widzów metodę przenoszenia dzieł literackich na ekran.

Może ten właśnie bagaż obciążeń i złych tradycji przyczynił się do wytworzenia atmosfery nieufności wokół sprawy adaptacji. Nasza odrodzona kinematografia przez wiele lat nie korzystała z bogatego dorobku literatury, a wszystkie, nieliczne zresztą, próby idące w tym kierunku pozostały w sferze projektów (np. sprawa adaptacji filmowej „Popiołu i diamentu" Andrzejewskiego, „Faraona" Prusa, czy „Zwycięstwa" Warmińskiego). Wiele interesujących i wartościowych pozycji literackich, stanowiących potencjalnie dobry materiał dla filmu, nie doczekało się przeniesienia na ekran, mimo dobrych wzorów zastosowania twórczej metody adaptacyjnej w kinematografii radzieckiej, jak „Czapajew", „Rodzina Artamonowów", czy „Opowieść o prawdziwym człowieku". Wyłomu dokonały dopiero „Pierwsze dni" zrealizowane wg powieści B. Hamery „Na przykład Plewa". Doświadczenia tej udanej w zasadzie próby stały się początkiem zwrotu w naszej twórczości filmowej.

Obecnie aż trzy powieści idą równocześnie na ekran: „Piątka z ulicy Barskiej" K. Koźniewskiego, „Uczta Baltazara" T. Brezy i „Pamiątka z Celulozy" I. Newerlego. To dobrze. Bardzo dobrze. Korzystanie z dorobku literatury w twórczości filmowej jest słuszne i celowe. Będziemy mieli trzy nowe filmy oparte na wartościowym materiale literackim. Ponadto prace adaptacyjne przyczynią się do zacieśnienia więzów współpracy między literatami i filmowcami, do zbudowania trwałego sojuszu literatury i filmu. Praca nad ekranizacją własnego utworu będzie dla literata najlepszym bodźcem i zachętą do pisania oryginalnych scenariuszy. Tak m. in. rozpoczął swoją pracę w filmie W. Wiszniewski — scenarzysta filmów „My z Kronsztadtu" i „Niezapomniany rok 1919".

Wróćmy jednak do interesującego nas zagadnienia trzech adaptowanych powieści.

Wybór pozycji jest niewątpliwie bardzo trafny (Nie przesądza to oczywiście sprawy innych wartościowych utworów, które w bliższej lub dalszej przyszłości mogą i powinny być adaptowane na ekran). Przede wszystkim realizacja omawianych utworów doskonale rozszerza wachlarz tematyczny bieżącej produkcji: „Piątka" i „Uczta" to niejako kontynuacja filmowego ataku na współczesność, zapoczątkowanego z powodzeniem przez „Pierwsze dni", to dowód całkowitego przełamania nieufności naszych realizatorów do tematyki współczesnej, to ukazanie kształtowania się nowego człowieka w nowych warunkach naszej rzeczywistości. „Celuloza" natomiast to pionierska w naszym filmie próba sięgnięcia do tematyki okresu dwudziestolecia, ukazania bohaterskich tradycji polskiej klasy robotniczej i jej partii, to zamierzenie na miarę „Trylogii o Maksymie" Kozincewa i Trauberga. Wszystkie trzy powieści odznaczają się dużymi walorami ideowo-artystycznymi, wszystkie trzy zostały w b.r. wyróżnione Nagrodami Państwowymi.

Dotychczasowa praktyka wykazała, że najlepsza nawet powieść nie jest jeszcze gotowym scenariuszem i nie zawsze przesądza o wartości przyszłego filmu. Znamy wiele przykładów adaptacji bardzo dobrego utworu literackiego na film nieciekawy lub zgoła zły. Adaptacja bowiem to proces twórczy, dający w rezultacie nowy jakościowo utwór artystyczny. Adaptacja — to przetworzenie materiału powieściowego na zwarty dramaturgicznie scenariusz, dokonanie wielu skrótów i przeprowadzenia nieraz bardzo bolesnej selekcji (zarówno ze względów ideologicznych, jak i ze względu na ograniczoną długość filmu i jego dramaturgiczną konstrukcję) bez zagubienia najistotniejszych wartości ideowo-artystycznych pierwowzoru. Więcej: adaptacja powinna usunąć i naprawić wszystkie dostrzeżone błędy utworu, dać dzieło doskonalsze i wartościowsze. Scenarzysta i realizator są bogatsi od pisarza o nową sumę doświadczeń, o drukowaną i niedrukowaną krytykę pierwowzoru, z której mogą i powinni korzystać w swojej pracy. Moment niezmiernie ważny, często niedoceniany.

W naszym wypadku autorzy powieści sami dokonują adaptacji przy współpracy reżyserów. To dobrze i źle zarazem. Dobrze, bo gwarantuje maksimum dbałości o przeniesienie na ekran wszystkich walorów pierwowzoru — źle, bo zbyt bliski emocjonalny stosunek do utworu utrudnia przeprowadzenie koniecznej selekcji i poprawek. To niebezpieczeństwo nie jest jednak zbyt groźne — zarówno doświadczenia pisarzy radzieckich, że wymienimy tylko Aleksego Tołstoja (praca nad filmem „Piotr I"), jak i doświadczenia Bogdana Hamery przemawiają za powierzaniem adaptacji autorowi powieści.

Punktem wyjścia każdej pracy adaptacyjnej powinno być uwzględnienie dotychczasowej krytyki utworu — ma to szczególne znaczenie w wypadku „Piątki" i „Uczty".

Powieść Koźniewskiego o chłopcach z Barskiej odznacza się wysokimi walorami ideowo-artystycznymi: jej ostrze kieruje się przeciwko resztkom podziemia, przeciw niedobitkom rodzimego faszyzmu; akcja jest żywa, dynamiczna, chwilami wręcz sensacyjna (brak nam dobrych filmów sensacyjnych — nie bójmy się tego słowa). Konflikty są ostre, prawdziwe, pełne dramatycznych spięć. Sceniczność narracji i jej, jeśli tak można rzec, montażowe rozłożenie sprawia, że niektóre partie powieści czyta się jak gotowy scenariusz: np. obrazowe, niemal filmowe, przedstawienie akcji w rozdziale „Zygmunt Radziszewski" (str. 19—36) lub w rozdziale zatytułowanym „Na ulicy Kruczej" (Str. 229—241). Z drugiej jednak strony utwór posiada sporo błędów — a więc owo osamotnienie chłopców, o którym pisano w „Nowej Kulturze", owo „powierzchowne reportażowe, migawkowe" potraktowanie walki partii o młodzież, brak aktywności wychowawczej ZWM-u, zbyt pobieżne psychologicznie potraktowanie chłopięcego przełomu, czy wreszcie niesłuszne ustawienie wątku Marka i Hanki. Usunąć te błędy — nie naruszając zasadniczej konstrukcji fabularnej utworu — oto trudne zadanie, stojące przed autorem-scenarzystą i realizatorem.

Nasuwa się również pytanie: czy adresatem filmu ma być młody widz? Książka Koźniewskiego jest bowiem raczej przeznaczona dla dorosłych — zbyt wiele w niej przytłaczających, przeraźliwie tragicznych przeżyć chłopięcych, zbyt wiele zła i podłości ludzkiej, zbyt mało pięknych, pozytywnych momentów w czynach bohaterów. „Piątka" winna być nie tylko filmem o młodzieży, ale i dla młodzieży. W tym celu trzeba losy chłopców pokazać z większym optymizmem, znaleźć w ich postępowaniu więcej czynów zdecydowanie szlachetnych, pozytywnych, a jednego z nich uczynić głównym pozytywnym bohaterem opowiadania. W postawie i dziejach Marka — murarza z trasy W—Z, Kazika — przodownika pracy w fabryce żarówek, czy nawet Jacka czy Zbycha, jest sporo, niekiedy surowego, ale cennego materiału na pozytywnego bohatera młodzieżowego.

Na taką postać film nasz jeszcze czeka.

Podobne zadania stoją przed Tadeuszem Brezą i reż. Jerzym Zarzyckim, autorami adaptacji „Uczty Baltazara". Największą, wskazaną przez krytykę, wadę opowieści, utrudniającą pracę adaptacyjną, stanowi w tym wypadku fakt, że „główna, sensacyjna akcja książki nie wiąże się organicznie z jej problematyką" (Wanda Leopold — „Nowa Kultura" nr 30). Zwarty, sensacyjno-detektywistyczny wątek fabularny nie dość mocno, a miejscami w sztuczny sposób wiąże zupełnie samodzielne, zamknięte w sobie epizody, które, ukazując rozryte środowiska i bogatą galerię postaci, mają dać możliwie pełny obraz wielkiego zrywu narodu odbudowującego swój kraj, walczącego o jego lepszą przyszłość. Nie rezygnując z żywej, sensacyjnej akcji, będącej dużym walorem filmowym powieści, film winien dać pełny obraz odbudowy kraju i kształtowania się nowego życia. Połączenie tych dwóch elementów, zlanie ich w jedną, nierozłączną całość, to nieodzowny warunek powodzenia adaptacji „Uczty".

Równie ważnym zagadnieniem jest skorygowanie i pogłębienie postaci głównego bohatera. Brak pełnej, konsekwentnej psychologicznie motywacji postępowania Andrzeja Uriaszewicza i jego wewnętrznego przełomu, to bardzo poważny błąd powieści. Żaden z pokazanych dotąd przez film polski bohaterów nie był uosobieniem najistotniejszych wartości naszej nowej inteligencji, nie wskazywał jej dróg do sojuszu z klasą robotniczą. Andrzej Uriaszewicz ma dane na to, by stać się bohaterem dobrze reprezentującym swoje środowisko i zachodzące w nim po wojnie przemiany.

Uwagi powyższe to tylko część trudności, które wyrastają przed scenarzystą i realizatorem w ich pracy twórczej nad materiałem literackim. Rozpatrując sprawę ekranizacji „Pamiątki z Celulozy", warto przypomnieć sformułowanie Igora Newerlego, który tak oto mówi o swoich doświadczeniach pisarskich:

„...Nie jest lżej... — gdy się ma nareszcie materiał bogaty i ciekawy. Oczy rozbiegają się wtedy po uzbieranych skarbach, wszystko wydaje się cenne, siadłoby się już do wykorzystania tego klejnotu, gdyby nie trzeźwiący głos rozwagi: „Owszem, ale nie w powieści, bo to ją rozsadzi. Nie w tym kontekście." I trzeba się zdobyć na okrucieństwo selekcji, na niełatwe panowanie nad sobą i materiałem, aby za każdym razem sedno rzeczy wyłuskać z nieistotnej, przypadkowej drobnicy i to sedno oddać później w całej pełni — niekiedy właśnie poprzez drobnostkę, poprzez szczegół, ale już szczegół innego zgoła wymiaru, innej wymowy jak każdy element sztuki." („Życie literackie" nr 15).

Sformułowanie to można doskonale odnieść do procesu adaptacji każdego pełnowartościowego dzieła literackiego. Trzeba się zdobyć na okrucieństwo selekcji, aby za każdym razem wyłuskać sedno rzeczy już nie z przypadkowej drobnicy, ale z doskonale wyselekcjonowanego, artystycznie przetworzonego materiału. Ten trud powtórnej selekcji i powtórnego kondensowania wysokowartościowego materiału i oddanie go za pomocą niekiedy oszczędnego skrótu i szczegółu filmowego — oto istota twórczego procesu adaptacji.

Ekranizacja „Pamiątki z Celulozy", nad którą pracuje autor powieści wspólnie z reż. Jerzym Kawalerowiczem, to jedno z najambitniejszych przedsięwzięć naszej kinematografii. Ranga artystyczna powieści wymaga takiego pietyzmu wobec pierwowzoru, jaki obowiązuje chyba tylko przy przenoszeniu na ekran dzieł klasyków. Nie miejsce tutaj na podnoszenie wszystkich walorów powieści, podkreślmy tylko jeden moment niesłychanie ważny dla filmu: Newerly po raz pierwszy w dziejach naszej literatury stworzył pełną postać pozytywnego bohatera. Film tylko wówczas osiągnie swój cel, jeżeli postać proletariackiego bohatera odtworzy jak najwierniej i jak najszerzej spopularyzuje.

*

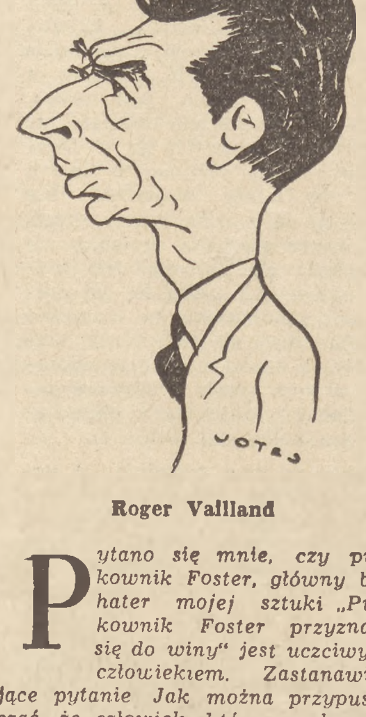
Trzy powieści idą na ekran, trzy powieści rozbijają ostatecznie sztucznie stworzoną barierę nieufności między naszą literaturą i filmem. Za wcześnie w tej chwili wyciągać wnioski, za wcześnie wysuwać teoretyczne sformułowania co do „filmowości" czy „niefilmowości" takich czy innych gatunków powieści, lub też poszczególnych elementów składowych dzieła literackiego. Sprawą tą, w oparciu o szerokie doświadczenia adaptacji dzieł literackich w kinematografii światowej, zajmuje się obecnie sekcja filmowa PIS-u, która ukończyła ostatnio pracę nad przygotowaniem wydawnictwa „Powieść na ekranie". Należy przypuszczać, że i nasze własne doświadczenia przyczynią się do wzmożenia prac teoretyczno-badawczych i potwierdzą zarysowującą się już tezę, że nie ma powieści „filmowych" i „niefilmowych", że są jedynie powieści dobre i złe. Każda dobra powieść przy twórczym, a nie mechanicznym podejściu do zagadnień adaptacji stanowi dobry, wartościowy materiał dla filmu. Gdy z dobrej powieści powstaje zły film, najwygodniej jest szukać winy w rzekomej „niefilmowości" pierwowzoru, a najtrudniej przyznać się do winy czy nieudolności adaptatorów — scenarzysty i reżysera.

Czesław Petelski

ROGER VAILLAND

Czy pułkownik Foster jest uczciwym człowiekiem?

Roger Vailland, autor „Dziwnej zabawy" — najciekawszej francuskiej powieści o Ruchu Oporu — jest zarazem najwybitniejszym dramatopisarzem postępowym Francji. Jego sztuka „Abelard i Heloiza" stanowi próbę pokazania tła obyczajowego i ideologicznego, zazwyczaj przemilczanego w literackich opracowaniach tego sławnego romansu średniowiecznego. Dramat „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" zdjęty z afisza w Paryżu wskutek interwencji policyjnej, zrobił karierę międzynarodową i został przełożony na kilka języków. Po premierze w Pradze R. Vailland przybył do Warszawy, gdzie obecnie przebywa, w związku z wystawieniem sztuki „Pułkownik Foster" w Teatrze Kameralnym. Vailland odbył również w Warszawie szereg spotkań z polskimi czytelnikami: m. in. wygłosił w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki odczyt pt. „Moje miasteczko pod okupacją amerykańską" oraz uczestniczył w wieczorze dyskusyjnym na temat jego ostatniej sztuki zorganizowanym przez Związek Literatów Polskich. Sztuka Vaillanda będzie wystawiona w najbliższym czasie także w ZSRR.



Roger Vailland

Pytano się mnie, czy pułkownik Foster, główny bohater mojej sztuki „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" jest uczciwym człowiekiem. Zastanawiające pytanie. Jak można przypuszczać, że człowiek, który rozkazuje zamordować więźnia politycznego i pali miasto — jest uczciwy? Jak można myśleć, że pułkownik — a więc oficer wyższej rangi, dowodzący jednostką korpusu ekspedycyjnego, który niszczy, rabuje i morduje w trakcie wojny agresywnej, jest uczciwy?

W pierwszym akcie, wprowadzającym niejako do sztuki — Foster przedstawia się — to znaczy jest przedstawiony przeze mnie jako idealna postać Amerykanina według propagandy amerykańskiej. Występuje jako demokrata; twierdzi, że broni demokracji w Korei, że nie uznaje żadnej różnicy rasowej między Amerykaninami a Koreańczykami. Przedstawia się jako uczciwy oficer i odmawia przyjęcia usług złodziei przez amerykańską armię. Nie pozwala znęcać się podłemu Cho Aido Yang nad więźniem Masanem. Wykazuje nawet kulturę i ma ambicję popisywania się w rozmowie cytatami raz z greckiego, raz z Gertrudy Stein. Pochodzi ze starej rodziny zamieszkałej od dawna na południu Stanów Zjednoczonych i czuje się wobec tego uprawnionym do pewnego rodzaju liberalizmu arystokratycznego, stawiającego go ponad tłumem.

Czy pułkownik Foster wierzy naprawdę, że jest tym idealnym Amerykaninem, którego wzorzec przedstawia swoim ludziom i widzom? Nie chcę wiedzieć tego. Nie wiem. Foster pewnie sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Sądząc z wypadków, w które jest zamieszany, z jego dni i nocy, ze stanu jego serca, Foster ma o samym sobie bardzo różne wyobrażenie, jest raz mniej, raz więcej szczery wobec siebie. Mało nas to obchodzi. Czyny sądzą o człowieku. Dopiero na tle tej próby moralnej, tego bardzo specyficznego wydarzenia jakim jest wojna agresywna w Korei, zarówno widz jak i sam Foster sprawdzą, czy autoportret, który rysuje pułkownik w pierwszym akcie jest prawdziwy, czy fałszywy.

Pierwszy fakt pozwalający widzom sprawdzić, kim jest w istocie Foster, to jego dialog z więźniem-komunistą Masanem. Amerykanin, twierdzi pułkownik, może zawsze dyskutować — o wszystkim i z każdym — nawet z komunistą. Ale zostawszy bez argumentów w tej dyskusji szybko wychodzi z tej roli, krzyczy: z komunistą dyskutować nie można — i rozkazuje odprowadzić Masana do więzienia.

Drugim dowodem będzie młoda Koreanka Lia — córka gospodarza domu, w którym gości pułkownik. Foster przedstawił się w pierwszym akcie jako wierny małżonek. Potem widzimy, jak szybko wyrzeka się tej lojalności próbując uwieść młodą dziewczynę. Przedstawił się jako antyrasista, lecz obrzuca obelgami Lię za to, że wydaje mu się, iż kocha „kolorowego".

Trzecią próbą dla pułkownika Fostera — jest próba ognia, próba wojny. Atakowany przez partyzantów, zmuszony do ewakuacji miasta decyduje się — bez wielkiej walki z własnym sumieniem — na włączenie kryminalistów do armii, spalenie miasta i zamordowanie więźniów politycznych. Nie jest nawet lojalny wobec własnej ojczyzny oszczędzając Lię, mimo posiadania dowodów na to, że jest ona szpiegiem. Nie pozostaje nawet wierny wyobrażeniu honoru swej kasty, ponieważ próbując wymknąć się partyzantom, zdziera epolety oficerskie i ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem w tłumie szarych jeńców.

Jeśli na zakończenie pułkownik Foster przyznaje się do winy — czyni to nie dlatego, że ogarniają go wyrzuty sumienia, lecz dlatego, że zostaje po prostu zdemaskowany, ujęty na gorącym uczynku. Morderca schwytany z nożem w ręku przy zwłokach ofiary — musi przyznać się do winy. Taka jest psychologiczna sylwetka Fostera.

Akcja sztuki trwa 24 godziny. Wystarczyło więc 24 godziny amerykańskiej okupacji w Korei, aby autoportret Fostera okazał się fałszywy i aby nawet sam Foster zorientował się, jak fałszywy sąd posiadał o sobie.

Wojna w Korei dowiodła całemu światu i przekonuje nawet naród amerykański, że Stany Zjednoczone nie są wcale tak szlachetnymi obrońcami wolności narodów jak twierdzi amerykańska propaganda. Wojna imperialistyczna — musi być zbrodnicza. Amerykański oficer armii agresywnej — musi stać się w zbrodniczej wojnie — zbrodniarzem.

W mojej sztuce przeciwstawiam jednak zbrodniarzowi wojennemu Fosterowi — sierżanta Paganella, który bez przerwy z żarliwością protestuje przeciwko zbrodniom swoich kompanów. Ujęty przez partyzantów, Paganell podzielił los innych jeńców. Kara za zbrodnie go nie spotka. A może — zwolniony — będzie świadczył o słuszności sprawy za jaką walczy Korea, przyczyni się być może do wyprowadzenia narodu amerykańskiego z błędnego koła. Foster to „porte parole" fałszywej demokracji, fałszywej uczciwości, fałszywej kultury i fałszywego pojęcia honoru wojskowego. Pracowicie wzniesiona przezeń swoja własna bohatersko-liryczna rzeźba zarówno na użytek jego jak i innych — nie wytrzymuje 24-godzinnej próby faktów. Bo właściwie jest to tylko maska.

Historia Fostera jest to historia pęknięcia, zawalenia się obiektywnego i subiektywnego zakłamanej osobowości. Inny tytuł mojej sztuki mógłby brzmieć: „Pułkownik Foster, czyli imperializm zdemaskowany".

Roger Vailland

Zwycięstwo burzy

(Dokończenie ze str. 3-ej)

spisek, izoluje wrogów i porywa do walki w obronie rewolucji żołnierzy. A ileż uznania wywołuje inscenizacja zebrań i posiedzeń tak statycznych i martwych zwykle w naszych przedstawieniach.

Doskonale oddają również treść sztuki dekoracje M. Winogradowa. Są one zwięzłe, skrótowe, a jednocześnie bardzo wymowne.

Wiele superlatywów należałoby również powiedzieć o grze aktorów. Łączy ich gorący, ideowy stosunek do wielkiej sprawy, którą ukazać pragną widzowi. Nie można grać tej sztuki przekonywająco nie wierząc w to, co się mówi na scenie. Artyści radzieccy przekazują widzowi swój szczery, wzruszający entuzjazm dla zwycięstwa rewolucji i to decyduje w ostatecznej mierze o tym, że zdobywają serca widowni.

Pisząc o wykonawcach trudno nie wspomnieć o zmarłym niedawno pierwszym odtwórcy roli marynarza Wileńczuka. Był nim niezapomniany wielki aktor radziecki Wanin. Rola ta stała się wzorem dla wielu artystów radzieckich, którzy opracowywali później postacie marynarzy-rewolucjonistów zarówno w „Sztormie", jak i w innych sztukach klasyki radzieckiej. Jakie były charakterystyczne cechy ujęcia tej postaci przez Wanina? Lubimow Łanskoj pisze: „Był on wzruszający bez udawania, oddany rewolucji bez fałszywego wiecowego patosu, prosty bez wulgarności, pełen radości życia i optymizmu wśród największych trudności i najcięższych doświadczeń. Nie było w nim ani szczerzenia zębów, ani pustego gadulstwa. Był surowy, rzeczowy, poważny i najdowcipniejsze powiedzonka wypowiadał tonem raportu służbowego".

Na pierwszy plan wysuwa się w przedstawieniu, które widzieliśmy w Warszawie, P. Gieraga w roli przewodniczącego komitetu powiatowego. Daje on postać skupioną, silną, bezkompromisową, a jednocześnie pełną mądrości życiowej i zrozumienia ludzkich spraw. Tak właśnie wyobrażamy sobie bohaterskiego działacza partyjnego, prawdziwego człowieka. Wśród plejady aktorów grających postaci pozytywnych bohaterów sztuki wymienić należy przede wszystkim R. Platta jako Rajewicza, starego rewolucyjnego inteligenta, członka partii od wielu lat, towarzysza walk Bebla i Jaurèsa. Wielka scena w ostatnim akcie sztuki, kiedy chory i majaczący Rajewicz śpiewa w gorączce Marsyliankę, pozostanie na długo w pamięci każdego widza warszawskiego przedstawienia „Sztormu". Bardzo wyrazistą i przekonującą sylwetkę chłopki Kuriłowej, która zrozumiała głębię słów Lenina o tym, że każda kucharka powinna nauczyć się rządzić państwem, rysuje doskonale tak utalentowana aktorka charakterystyczna, jaką jest Olga Jakunina. Inteligencję, wnikliwość, siłę i bezkompromisowość przewodniczącego Cze-Ka podkreśla umiejętnie A. Zubow. Prosto i wzruszająco prowadzi swą rolę młoda aktorka Szaposznikowa w roli redaktora partyjnej gazety, agitatora i działacza rewolucyjnego. Dobrze grają role zastępcy przewodniczącego Komitetu Powiatowego partii i komisarza wojskowego A. Dubow i M. Anorow.

Lecz nie tylko postaci pozytywne znalazły w przedstawieniu „Sztormu" doskonałych odtwórców. Również wrogowie ludu zostali pokazani prawdziwie, bez przesady i szarży. Tym większą wymowę mają ich starcia z władzą radziecką i tym silniej uwypukla się zwycięstwo, jakie odnosi ona nad nimi. Dłuższą rozprawę można by poświęcić F. Raniewskiej, która z małej roli aresztowanej spekulantki robi prawdziwy majstersztyk opracowanej w najdrobniejszych szczegółach gry aktorskiej. Każdy gest Raniewskiej i każde jej słowo (choć wypowiada ich wcale niedużo) mówi o tym, co rozgrywa się wewnątrz tej wrednej baby. Dzięki grze tej znakomitej aktorki scena przesłuchania w Cze-Ka jest chyba najlepszą sceną przedstawienia. Doskonale buduje też postać komendanta wojskowego terenu, byłego białogwardyjskiego pułkownika, a obecnie jednego z organizatorów kontrrewolucyjnego spisku — O. Abdułow. Mocny, pełen nienawiści do władzy radzieckiej, perfidny i sprytny, umiejący się doskonale maskować — pokazuje Abdułow prawdziwego wroga, w całej jego ohydzie, ale i grozie. Kto był na procesie Tatara, ten przypomni sobie patrząc na postać stworzoną przez Abdułowa niejednego z owych mossorów, kirchmayerów, hermanów i innych kuro-piesków, początkowo dość jeszcze butnych przed sądem i załamujących się tchórzliwie pod ciężarem dowodów winy i strachem grożącej im kary. Zarówno bezczelne słowa „kłamstwo! oszczerstwo!" rzucane w twarz przewodniczącemu Cze-Ka przez aresztowanego zdrajcę, jak i skwapliwość, z jaką gotów on udzielić wszelkich informacji o spisku, z chwilą gdy przekonał się, że jest zdemaskowany i musi ratować za wszelką cenę swą głowę — to doskonałe momenty tej kreacji Abdułowa.

Trudno wymienić wszystkich artystów występujących w przedstawieniu. Pragniemy jednak wspomnieć jeszcze przynajmniej rolę inteligentnego lektora, byłego mienszewika, który nie wierzy w zwycięstwo rewolucji, ma pełne usta lewackich frazesów i boi się zarazem panicznie białogwardzistów. Gra go bardzo dobrze S. Godzi. Zdrajcę Ibragimowa odtwarza z zachowaniem całego kolorytu lokalnego M. Rozen-Sanin.

W sumie widzieliśmy piękne, przekonujące i wzruszające przedstawienie. Jesteśmy za nie wdzięczni zespołowi Teatru im. Mossowietu. Wydaje się, że zarówno nasi pisarze, jak i ludzie teatru, powinni wyciągnąć z niego niejeden wniosek dla siebie. Z takim właśnie przekonaniem należy pisać rewolucyjne sztuki, tak należy je wystawiać i grać.

Roman Szydłowski

LEONARD BORKOWICZ

Za kulisami atlantyckiej jedności

BITWA O ANGLIĘ

Jedna z głównych amerykańskich legend politycznych mówi o „jedności Atlantydów". Jeśli przyjąć za dobrą monetę to co mówią i piszą amerykańscy propagandziści, to w stosunkach pomiędzy USA a innymi partnerami w bloku panuje atmosfera zaufania, szacunku i wdzięczności dla amerykańskich dobroczyńców.

Rzeczywistość odbiega jednak od tego idyllicznego obrazu.

Amerykańscy miliarderzy różnymi sposobami uzależniają od siebie już nie tylko kolonie, ale i inne państwa imperialistyczne. Ale czy wystarczy zastąpienie słowa „kolonia" słowem „sojusznik"? Nawet pewne koła klas posiadających pragną wyzwolić się z objęć amerykańskich. Nie chcą się one pogodzić z zamienieniem ekonomiki ich krajów w dodatek do ekonomiki USA, z pozbawianiem ich zysków płynących z posiadania tanich surowców i zapewnionych rynków zbytu.

Klasy panujące Wielkiej Brytanii, Francji i innych państw imperialistycznych weszły w porozumienie z USA, chcąc w ten sposób zabezpieczyć swoje dotychczasowe zyski i osiągnąć nowe, zachować panowanie nad „swoimi" narodami i narodami kolonii. Ale władców USA mało obchodzą cele ich sojuszników.

Solą w oku monopolistów amerykańskich jest przede wszystkim imperium brytyjskie. Elliot Roosevelt w swojej książce „As he saw it" opowiada, że już w czasie ostatniej wojny kierownicy polityki zagranicznej USA dążyli do rozbioru, lub co najmniej osłabienia imperium Brytyjskiego. Lata powojenne wzmogły te tendencje.

FINANSOWY PODBÓJ ANGLII PRZEZ USA

Bezpowrotnie minęły już czasy, kiedy kapitalizm rozwijał się mniej więcej harmonijnie. Panującą tendencją, prawem rozwoju współczesnego imperializmu jest jego nierównomierny, odbywający się skokami rozwój. Lenin pisał, że „w warunkach kapitalizmu jest **nie** do pomyślenia inna podstawa podziału sfer wpływu, interesów kolonij itp., niż uwzględnienie **sił** uczestników podziału, sił ogólno-ekonomicznych, finansowych, wojskowych itd. Siły zaś tych uczestników podziału zmieniają się niejednakowo, ponieważ **równomiernego** rozwoju poszczególnych przedsiębiorstw, trustów, gałęzi przemysłu, krajów w warunkach kapitalizmu być nie może" (Lenin, Dzieła, t. 22, str. 336).

Wymownym dowodem prawdziwości tych słów jest zmiana układu sił między Wielką Brytanią i USA. Już od początku tego wieku Wielka Brytania traci czołowe miejsce wśród światowych mocarstw imperialistycznych. Druga wojna światowa przyspieszyła ten proces. W świecie imperialistycznym pierwsze skrzypce grać zaczynają USA. Posiadają one trzy razy więcej ludności aniżeli Anglia (bez imperium), wydobywają trzy razy więcej węgla, produkują sześć razy więcej stali i energii elektrycznej, posiadają dziesięć razy większe zapasy złota, a ich flota wojenna jest cztery razy większa od floty angielskiej.

Mimo służalczej roli, jaką w stosunkach z USA grają angielskie klasy posiadające, „wykończenie" imperium brytyjskiego nie jest dla Amerykanów rzeczą łatwą. Posiadłości kolonialne zapewniają imperializmowi angielskiemu rynki zbytu, źródła surowców i sfery lokaty kapitałów, a rozgałęziony system komunikacyjny i sieć baz, rozrzuconych w najważniejszych punktach świata kapitalistycznego, ułatwiają imperializmowi angielskiemu walkę z USA.

Rycerze dolara wcale nie ukrywają swoich zamiarów wobec Wielkiej Brytanii. Przeciwnie, odczuwają oni jakąś sadystyczną przyjemność, przedstawiając Brytyjczykom ponure perspektywy ich „przyjaźni". B. A. Javits, reprezentujący interesy domu Morgana, w swojej książce „Peace by Investment" pisze: „Brytyjczycy powinni zdobyć się na więcej skromności i mieć poczucie proporcji w stosunku do ich obecnej roli w sprawach światowych" str. 95). „Brytyjczycy lepiej zrobią, jeśli pozwolą nam zająć się ich przemysłem zamiast stać pod naszymi drzwiami z wyciągniętą ręką". (str. 102).

Wspomniany już Javits pisze, że pax americana w przeciwieństwie do pax romana zostanie ustanowiony nie na drodze podbojów, lecz przy pomocy kredytu. Nie należy z tego oczywiście wyciągać wniosku, jakoby USA wyrzekały się stosowania siły zbrojnej. Javits sam prostuje taki pogląd i pisze: „USA powinny mieć najpotężniejszą armię, flotę i lotnictwo, aby cały świat widział, że tam gdzie są nasze pieniądze, jest także nasza siła". Najwygodniej jednak zacząć od kredytu.

Zgodnie z tą receptą USA przyznały Wielkiej Brytanii w r. 1946 pożyczkę w wysokości 3750 milionów dolarów. Pożyczkę przyznano na warunkach lichwiarskich. Anglia zobowiązała się do stopniowej likwidacji preferencji imperialnych i bloku szterlingowego, jej polityka walutowa i handlowa poddana została amerykańskiej kontroli. Nawet konserwatysta L. S. Amery pisał o tej pożyczce: „Cena jaką płacimy za tę pożyczkę nazywa się: imperium brytyjskie. Każda jego część, pozbawiona pomocy wzajemnej wynikającej z preferencji imperialnych zostanie oddzielnie połknięta, stanie się areną amerykańskiej eksploatacji, lennikiem amerykańskich finansistów i w końcu amerykańską kolonią".

Plan Marshalla nie zmniejszył katastrofalnego deficytu dolarowego Wielkiej Brytanii. Amerykańskie dostawy pokryły zaledwie jedną piątą wydatków wojennych, narzuconych Anglii w wyniku jej udziału w amerykańskim bloku atlantyckim. Globalny deficyt handlu zagranicznego Anglii przekracza w 1952 r. dwukrotnie poziom roku 1948. Jest to wynikiem planu, który nie dopuścił towarów angielskich na rynki amerykańskie, a jednocześnie zmusił Anglię do rezygnacji z korzyści płynących z normalnego handlu ze Wschodem.

Za mniejszą niż przed wojną ilość importowanych surowców i artykułów spożywczych Anglia płaci obecnie eksportem prawie o dwie trzecie większym niż przed wojną. Zmniejsza się ilość surowców na potrzeby wewnętrzne, a rośnie ich ilość kierowana do gałęzi przemysłu, które pracują na eksport. Zmniejszyło się wydatnie spożycie ludności.

Narzucając gospodarce angielskiej bojkot handlu ze Wschodem plan Marshalla doprowadził do pełnej jej dezorganizacji. Coraz szersze koła angielskie zdają sobie sprawę z katastrofalnych skutków tego bojkotu. W lecie 1951 roku ówczesny minister handlu Showcross podkreślił, że ograniczenia w handlu między Anglią a Wschodem pociągną za sobą nader poważne skutki dla ekonomiki i ludności kraju. Niemniej zdecydowanie wypowiedział się w tej sprawie obecny minister spraw zagranicznych Eden w czasie pobytu w USA: „Nie można uważać za rozsądne przerwanie handlu między Wschodem a Zachodem".

Gdyby Anglia jedynie zachowała poziom eksportu do Chin z lat 1925 — 1929, mogłaby zwiększyć wywóz towarów przemysłowych o 70 milionów funtów szterlingów, co dałoby pracę 120.000 robotników angielskich. Nic dziwnego, że angielski „Economist" stwierdził: „Europa nie może wyrzec się towarów, wywożonych przez ZSRR i zaprzyjaźnione z nim kraje jedynie za cenę obniżenia konsumpcji żywności i prawdopodobnie za cenę obniżenia produkcji przemysłowej".

Narzucona przez USA polityka handlu zagranicznego oznacza dla Anglii samobójstwo.

Dotychczasowa polityka rządów angielskich doprowadziła do utraty niezależności ekonomicznej i politycznej tego kraju. Coraz więcej wojsk amerykańskich przebywa na wyspach brytyjskich, a ostatnie słowo w polityce brytyjskiej należy do amerykańskiego ambasadora. Jeden z redaktorów „New York Times" James Reston pisał: „Ambasadorzy USA mieszają się do wewnętrznych spraw krajów, w których są akredytowani. Składają oni w obcych stolicach propozycje, których nigdy nie ważyliby się zrobić ich poprzednicy sprzed 25 lat. W porównaniu z dziewiętnastowiecznymi zasadami regulującymi stosunki pomiędzy suwerennymi narodami, USA robią po drugiej wojnie światowej rzeczy, które nigdy nie byłyby tolerowane. Jakże przestarzałe są dawne teorie dyplomacji o nieinterwencji i interwencji".

W tych dniach Izba Gmin przyjęła ustawę, która wojskom amerykańskim stacjonowanym w Anglii przyznaje prawo eksterytorialności. Na podstawie tej ustawy sąd angielski nie ma prawa sądzić amerykańskiego żołnierza, jeśli on w czasie pełnienia obowiązków służbowych zabije angielskiego obywatela. O tym czy żołnierz wypełnia obowiązki służbowe, czy też nie, decyduje zaświadczenie wydane przez jego zwierzchnika. Ustawa przewiduje, że sąd angielski nie ma prawa badania prawdziwości danych zawartych w takim zaświadczeniu.

O BLISKI WSCHÓD

Anglia musi zaciekle walczyć o zachowanie swoich pozycji we własnych dominiach, koloniach i sferach wpływów.

Ze szczególną gwałtownością rozgorzała walka na terenach Bliskiego i Środkowego Wschodu. Dawno minęły już czasy kiedy rejon ten był domeną wyłącznych wpływów angielskich. Amerykańscy imperialiści bezceremonialnie wyrzucają swoich partnerów z „British Middle Eastern Empire". Niemałą przysługę oddała przy tym monopolistom „doktryna Trumana". Przy jej pomocy USA przejęły na siebie rolę głównej siły imperialistycznej w tym rejonie i wypierają swoich angielskich partnerów z coraz nowych pozycji.

Walka toczy się przede wszystkim o opanowanie źródeł ropy naftowej. Na Bliskim Wschodzie znajduje się 40% zapasów ropy naftowej świata kapitalistycznego. W roku 1938 Anglia kontrolowała 80% wydobycia ropy krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu, a USA 14%. W roku 1950 USA kontrolowały już 45% wydobycia. W obecnej chwili USA wykorzystując osłabienie pozycji Wielkiej Brytanii w Iranie gwałtownie zabiegają o opanowanie tamtejszych źródeł naftowych.

Międzyimperialistyczna walka konkurencyjna przybiera na Bliskim Wschodzie charakter krwawej rozprawy, w której agenci wywiadów organizują powstania, zamachy stanu i morderstwa. W roku 1948 król Jemenu Jachia nawiązał kontakty z Amerykanami. W kilka miesięcy potem został on zamordowany przez agentów angielskiej IS. W roku 1951 agenci amerykańscy zabili wiernego sługę Anglii, króla Transjordanii Abdullę. Wraz z jego śmiercią upadł projekt „Wielkiej Syrii", która miała stać się podstawą bazą angielską na Bliskim Wschodzie. Następca tronu Transjordanii Talal otwarcie zdeklarował się jako zwolennik USA. Ale niedługo cieszył on się swoim panowaniem. W sierpniu 1952 roku agenci brytyjscy doprowadzili do jego detronizacji w związku z rzekomą chorobą umysłową.

Walka o Syrię, która w latach 1949 — 1951 przeżyła cztery przewroty, zakończyła się na razie niepowodzeniem Wielkiej Brytanii. Od listopada 1951 USA niepodzielnie rządzą tym krajem.

Także w zamachu stanu Naguiba w Egipcie widać rękę amerykańską.

INDIE JUŻ NIE SĄ BRYTYJSKIE...

Terenem zaciekłej rywalizacji anglo-amerykańskiej stały się także Indie. Pozycje w Indiach mają dla angielskich monopolistów szczególne znaczenie. Kontrolują oni większość przemysłu indyjskiego, a jedna czwarta zagranicznych inwestycji kapitału angielskiego ulokowana jest właśnie w tym kraju. Jest czego bronić przed obcymi zakusami! Ponadto stanowią Indie niesłychanie ważny rynek zbytu towarów angielskich i źródło szeregu podstawowych surowców.

Od kilku lat sytuacja Anglików w Indiach ulega stałemu pogorszeniu. Już dziś USA wywożą do Indii więcej towarów aniżeli Anglia. Rośnie rola kapitału amerykańskiego w przemyśle indyjskim. Szczególne zainteresowanie wykazują monopole amerykańskie dla górnictwa, z którego Anglicy są coraz bardziej wypierani. Kapitał amerykański wdziera się do Indii drogą tworzenia amerykańsko-indyjskich towarzystw mieszanych. W ten sposób wyrwano Anglikom monopol wydobycia rudy manganowej. Amerykańska Electric Bond & Share Company przejęła kontrolę nad dostawą prądu dla przemysłu i miast. Już dziś kontrolują USA 75% zdolności produkcyjnej indyjskich montowni samochodowych, 64% produkcji aluminium, 21% produkcji przemysłu gumowego.

Imperialiści angielscy stoją wobec groźby zupełnej utraty Indii.

Niezwykle poważna sytuacja dla imperializmu angielskiego wytwarza się w dominiach.

Rozluźniają się więzy łączące Kanadę z Anglią. W ostatnim numerze przeglądu „Survey of Current Business", organu Departamentu Handlu USA zamieszczono artykuł, w którym stwierdzono, że „znaczna część nowych lokat kapitału amerykańskiego poczyniona została w Kanadzie i prawie wszystkie gałęzie przemysłu tego kraju rozwijają się przy pomocy kapitału amerykańskiego". Redaktor „Life" Henry Luce, pisał, że „logika historii zmusza Anglię do ściślejszych związków z kontynentem europejskim i dlatego przyszłość Kanady związana jest z nami".

LUD WOBEC PROGRAMU ZBROJEŃ

Poważnym źródłem rozbieżności anglo-amerykańskich jest narzucony przez USA program zbrojeń. Rząd angielski przerzucił ciężar tych zbrojeń na barki mas ludowych, ale nie ułatwiło to realizacji tego programu. W lipcu tego roku Churchill i Butler widzieli się zmuszeni oświadczyć, że program zbrojeń przerasta siły Anglii. W obliczu narastających trudności gospodarczych rząd angielski postawił USA przed faktem dokonanym redukcji zobowiązań angielskich, narzuconych w Lizbonie w lutym 1952. Podobna sytuacja powstała zresztą we Francji i Włoszech. W związku z tym Walter Lippman pisał w „New York Times": „Nasi dwaj główni sprzymierzeńcy (Anglia i Francja) są przeciążeni. Nie mogą oni znaleźć środków i ludzi dla realizacji zooowiązań przyjętych przez trzy rządy".

Budżet wojenny Wielkiej Brytanii wynosi ponad półtora miliarda funtów szterlingów. Takiego ciężaru gospodarka brytyjska nie jest w **stanie znieść. Ostatni kwartalny biuletyn** Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ tak ocenia obecną sytuację gospodarczą w krajach Europy Zachodniej: „Zatrudnienie i produkcja przemysłowa jako całość obniżyła się, a wzrost produkcji przeznaczonej na dostawy zbrojeniowe nie był dostateczny, by wyrównać spadek produkcji dóbr konsumcyjnych dla rynku wewnętrznego i na eksport".

Polityka przygotowań wojennych napotyka na zdecydowany opór mas ludowych Wielkiej Brytanii. Nikt nie rozumie w imię czego mają być ponoszone ogromne ofiary. Propaganda „rosyjskiego niebezpieczeństwa" nie jest przekonywająca. Znany amerykański architekt Frank Lloyd Wright oświadczył po powrocie z Europy: „Strach przed Rosją jest wynalazkiem amerykańskim i nie jest podzielany przez Europejczyków. W Europie nie stwierdziłem żadnego strachu przed Rosją..."

O powodach fiaska amerykańskich planów wojskowych pisał komentator koncernu Scrips-Howarda: „W Europie Zachodniej ludzie nie są skłonni zgadzać się na obniżanie stopy życiowej w zamian za armaty i buntują się przeciw wysokim podatkom".

*

Na XIX Zjeździe KPZR G. M. Malenkow oświadczył: „...już obecnie co trzeźwiejsi i bardziej postępowi politycy w europejskich i innych krajach kapitalistycznych, nie zaślepieni wrogością wobec Związku Radzieckiego, wyraźnie widzą, w jaką otchłań wciągają ich rozwydrzeni awanturnicy amerykańscy i zaczynają występować przeciwko wojnie. Należy przypuszczać, że w krajach, skazywanych na rolę powolnych pionków dyktatorów amerykańskich, znajdą się prawdziwie pokojowe, demokratyczne siły, które będą prowadzić własną, samodzielną, pokojową politykę i znajdą wyjście z tego ślepego zaułka, w który wpędzili ich dyktatorzy amerykańscy. Kraje europejskie i inne, wkraczając na tę nową drogę, spotkają się z pełnym zrozumieniem ze strony wszystkich miłujących pokój krajów".

Gwałtownie narastają elementy nowego kryzysu systemu kapitalistycznego. Znów wyraźnie naruszona została równowaga wewnątrz tego systemu, i państwa, które znalazły się pod butem amerykańskiej dyktatury dążą do zmiany sytuacji na swoją korzyść. Wewnątrz świata kapitalistycznego zarysowuje się podział na dwa obozy. Z jednej strony USA, które w mniejszym lub większym stopniu uzależniły od siebie inne kraje kapitalistyczne i prowadzą je na pasku swojej polityki wojny, wyzysku i ucisku. Z drugiej strony uzależnione od USA kraje kapitalistyczne, które chcą wyrwać się z objęć USA i odzyskać samodzielną pozycję. Taki rozwój wypływa z samego charakteru ustroju kapitalistycznego. Jakaś zgodna, harmonijna eksploatacja świata przez międzynarodowy zjednoczony kapitał finansowy możliwa jest jedynie w sferze pobożnych życzeń naiwnych apologetów kapitalizmu, albo w teoriach obliczonych na oszukanie i wprowadzenie w błąd mas ludowych. Z kapitalistyczną rzeczywistością nie ma to nic wspólnego.

Leonard Borkowicz

„Dziennik" Jana Szembeka (VIII)

DLA NIEMCÓW NASZA POSTAWA MA ZNACZENIE DECYDUJĄCE

6 wrzesień 1938 r. Rozmowa z Arciszewskim. Niemcy zachowują się wobec nas niezwykle lojalnie, i życzyliby sobie naszej neutralności na wypadek wybuchu konfliktu. Sądzą, że nasza postawa ma znaczenie niezmiernej wagi, i biorą to pod uwagę w swoich obliczeniach. Hitler nawet wyraził chęć spotkania Becka; nie może to jednak nastąpić przed powrotem naszego ministra z Genewy, gdzie stara się on „uwolnić sobie ręce".

Tego samego dnia. Rozmowa z Beckiem, w obecności Edwarda Raczyńskiego. Beck stwierdza, że w Berlinie uważa się nasze zachowanie za czynnik decydujący w wypadku gdyby sprawa czeska doprowadziła do konfliktu. Mają tam dla nas wiele względów, i Goebbels dał ostatnio prasie surowe instrukcje, zakazując jakiejkolwiek propagandy wrogiej wobec Polski. Goering oświadczył w rozmowie z Lipskim, że po załatwieniu sprawy czeskiej Niemcy nie będą miały w Europie żadnych pretensji terytorialnych. Kanclerz wystąpi wtedy z gwarancją zapewniającą pokój.

ZAJĘCIE CZECH PRZEZ NIEMCY JEST NIEMOŻLIWOŚCIĄ

8 wrzesień 1938 r. Rozmowa z Beckiem. Mówił mi, że był dziś u marszałka Śmigłego Rydza. Pułkownik Andorka powiedział marszałkowi, że Niemcy mają zamiar zająć całą Czechosłowację, aż do przedwojennej granicy węgierskiej. Beck ocenia to jako niemożliwość, zresztą posunięcie podobne nie byłoby zgodne z założeniem przyjętym przez Hitlera.

GŁUPIE I NIEWŁAŚCIWE PYTANIE

12 wrzesień 1938 r. Rozmowa z Beckiem (w obecności Arciszewskiego i Lubieńskiego).

Minister analizuje instrukcje, jakie dał Łukasiewiczowi (ambasador Polski w Paryżu) na wypadek jego rozmowy z Bonnetem (francuski minister Spr. Zagr.). Beck nie udzielił odpowiedzi na pytanie Bonneta, czy w wypadku konfliktu można się spodziewać, że Polska stanie po stronie Anglii i Francji. Minister uważa, że pytanie to jest zarówno głupie, jak niewłaściwe (stupide qu'inconvenante).

NAJAZD NA ŚLĄSK ZAOLZIAŃSKI

25 wrzesień 1938 r. Rozmowa ze Slavikiem (minister Czechosłowacji).

Wezwałem go celem przekazania mu następującej deklaracji: Ponieważ władze czeskie stwarzają trudności polskiemu samolotowi pasażerskiemu, przelatującemu nad Czechami do Budapesztu, rząd polski postanowił zawiesić połączenie lotnicze między Polską i Czechosłowacją.

Podkreśliłem, że należy żałować, że rząd czeski nie docenia niebezpieczeństwa, płynącego z powagi sytuacji wytworzonej przez brak odpowiedzi z Pragi na naszą notę z 21-go.

Ostrzegłem go, że odpowiedź nie może nosić charakteru odwlekającego rozstrzygnięcie sprawy, co spowodowałoby poważne konsekwencje. Zakończyłem stwierdzając, że powinna ona być „jasna i przejrzysta" (claire et nette).

Tego samego dnia. Rozmowa z Noelem.

Było widoczne, że ambasador Francji, wezwany pośpiesznie do mnie, przygotowany był na jak najgorsze. Moją deklarację przyjął z wielkim uczuciem ulgi. Podziękował mi za nią bardzo serdecznie, stwierdzając, że w Paryżu zrobi ona doskonałe wrażenie. Dorzucił, że odzyskanie Śląska za Olzą przez Polskę jest całkowicie usprawiedliwione, i że niezbędne jest szybkie przekazanie nam tego terenu przez Czechosłowację.

30 wrzesień 1938 r. Rozmowa z Beckiem.

Pod wieczór Beck mnie zawiadamia, że ambasador Wielkiej Brytanii oświadczył mu, że Czesi zawiadomili Londyn o swojej zgodzie na nasze żądania z dnia 27, i że przekazują nam Cieszyn i Frysztat.

Ambasador Francji ze swej strony powiadomił ministra, że Czesi zakomunikowali w Paryżu swoją odpowiedź na naszą notę z dnia 27, i otrzymali od rządu francuskiego radę, by wysłać Polsce odpowiedź definitywną, bardziej idącą na rękę wymaganiom polskim.

W dn. 1 października 1938, Czechosłowacja poddaje się wymaganiom Polski. Następnego dnia, armia polska przekracza Olzę. Polska przejmuje od Czechosłowacji około 1.000 km kwadratowych oraz 230.000 mieszkańców. (Przypisek Noela, wydawcy „Dziennika" Szembeka).

ROZMOWA Z GENERAŁEM SPECJALISTĄ

7 października 1938 r. Rozmowa z gen. Litwinowiczem (na kolacji wydanej przez min. Romana, na cześć delegacji handlowej Mandżukuo). Generał podaje mi szereg ciekawych informacji na temat armii niemieckiej i sowieckiej. Jeśli idzie o Niemcy, przygotowuje on interesujący wykres, dowodzący olbrzymiego osłabienia potencjału wojskowego Rzeszy, począwszy od r. 1914.

CHĘĆ POROZUMIENIA SIĘ NIEMIEC Z ANGLIĄ I FRANCJĄ

10 października 1938 r. Rozmowa z Lipskim.

Stwierdza on, że w stolicy Niemiec panuje wyraźna tendencja do porozumienia się z Francją i Anglią. Goering zajmuje się sprawami francuskimi, Neurath zaś angielskimi; akcje Neuratha stoją ostatnio wysoko.

NAGŁY ZWROT: SPRAWA GDAŃSKA

29 października 1938 r. Rozmowa z Lipskim.

Ambasador nastrojony jest pesymistycznie. Rozmawiał z Ribbentropem (Lipski przekazuje mi tę wiadomość poufnie), który podjął zagadnienie Gdańska, nie ukrywając, że pragnie doprowadzić do aneksji Wolnego Miasta przez Rzeszę, gwarantując zresztą nasze prawa gospodarcze. Jeśli zgodzimy się na to, Hitler zadeklaruje nienaruszalność naszych granic i przedłuży na 25 lat pakt o nieagresji z r. 1934.

Lipski ocenia Ribbentropa jako partnera niesympatycznego, który nie rozumie problemu gdańskiego i powtarza wciąż jako argument, że Gdańsk jest miastem niemieckim. Inaczej Goering, który zdaje sobie sprawę, że Gdańsk wcielony do Rzeszy i pozbawiony zaplecza polskiego skazany jest na zagładę.

Rozmowa między Lipskim i Ribbentropem, stanowiąca zasadniczy zwrot w polityce niemieckiej w stosunku do Polski, odbyła się 24 paźdz. 1938 w hotelu w Berchtesgaden. Ribbentrop zażądał wtedy nie tylko Gdańska, ale także eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej poprzez „korytarz" (Przypisek Noela, wydawcy „Dziennika" Szembeka).

PRZEDZIWNA KONFERENCJA U BECKA

Pod datą 4 listopada 1938, w chwili odmiany polityki niemieckiej wobec Polski, Szembek odnotowuje zdumiewające exposé Becka, złożone ze zdań pozbawionych sensu; z obszernego tego tekstu (6 stron druku książkowego) wyjmujemy początek, by dać pojęcie o tonie całości. (przyp. nasz)

4 listopada 1938 r. Konferencja u Becka (obecni: Arciszewski, Papée, Lubieński, Gwiazdowski, Kobylański, Potocki i ja).

BECK: W ostatnich miesiącach straciły cenę rozmaite rodzaje systemów i metod, do których przywiązywano więcej wartości, niż zasługiwały. Trzeba zdać sobie z tego sprawę i zwrócić na to uwagę, bo to wynika z analizy rezultatów przeszłości i będzie miało swój wpływ na przyszłość. Z drugiej strony okazało się, że lwy nie są tak straszliwe, jakby się wydawało, gdy się z nimi żyje intymnie (les lions ne sont pas si terribles qu'ils ont l'air quand on vit plus intimement avec eux), i pomimo pozorów należy niemniej stwierdzić, że Niemcy mają znacznie mniej wewnętrznej dyscypliny niżby można się było po nich spodziewać, wobec trudnej sytuacji. Dyscyplina została może utrzymana, bo decyzja pozostała w ręku jednej osoby, i potęga woli oraz środki materialne i techniczne wystarczyły, żeby prowadzić akcję, ale fakt, że zagadnienia personalne nie są dostatecznie przestudiowane i że umiarkowanie, jakie zmuszało przed wojną Niemców do niepuszczenia się przed cudzoziemcami — zniknęło — jest znaczący. Brak energii partnerów uniemożliwił jakiekolwiek uregulowanie sytuacji, jeśli idzie o Czechy i Węgry, jest to objaw wyjałowienia politycznego. Co do nas, udało nam się; nie postępowaliśmy zbyt dowolnie; nie zdecydowaliśmy się też na interwencję. Z drugiej strony zostało udowodnione, że nie potrafimy być obojętni na sprawy, które nas tyczą. Pod tym względem nasze położenie nie jest najgorsze. Nasza sytuacja polityczna jest dobra.

Ruina nadziei rozmaitych państw wywoła zapewne w umysłach nieograniczony pesymizm, z którego trzeba będzie wyciągnąć wnioski; może z tego wyniknąć, że niektóre kraje, dając dowód słabości z jednej strony, pokażą siłę z innej, taka właśnie rzecz się odbywa, itd. itd.

ALE PLANY ROZBIORU ZSRR MIĘDZY POLSKĘ I NIEMCY WCIĄŻ AKTUALNE

17 listopad 1938 r. Rozmowa z prof. Stockim (działacz nacjonalistyczny ukraiński z Berlina).

Polityka niemiecka przewiduje podział Rosji na rozmaite państwa narodowe. Mówi się w III Rzeszy o rozpadzie Rosji w rezultacie rewolucji wewnętrznej, wskutek wojny ZSRR z Japonią, albo dzięki inteligentnej propagandzie, wypróbowanej przez Niemców z dobrym skutkiem w Nadrenii, Austrii i Sudetach. Propaganda ta mogłaby się posłużyć audycjami radiowymi. W tej dziedzinie Wilhelmstrasse świetnie pojmuje, że *niczego nie zdoła dokonać na Ukrainie bez współpracy z Polską.*

Niemcy jednak, podkreślając konieczność podziału Rosji, zapytywali prof. Stockiego, czy Polska nie żywi planów wobec nafty kaukaskiej (si la Pologne ne caressait pas des projets visant la pétrole du Caucase), i czy biorąc ogólnie, Polska posiada jakiś program penetracji gospodarczej w Rosji.

OMYSŁY ZAŁAGODZENIA I OLŚNIENIA NIEMCÓW

22 listopad 1938 r. Rozmowa z Lipskim. Sprawa ewentualnej wizyty Ribbentropa w Warszawie. Moglibyśmy olśnić (éblouir) Ribbentropa rozmaitymi sposobami, np. zapraszając go na defiladę wojskową, lub pokazując mu naszą stolicę, której rozwój jest doprawdy imponujący. Jeśli idzie o Goeringa, na pewno będzie chciał przyjechać w lutym na polowanie. Byłoby też wskazane udzielić Niemcom uroczystych odznaczeń orderami polskimi. Trzeba się również zastanowić nad wyborem podarunku, jaki prezydent Rzeczypospolitej mógłby ofiarować Hitlerowi.

INNY SPOSÓB POSTĘPOWANIA Z NIEMCAMI

29 listopad 1938 r. Rozmowa z Orłowskim. Orłowski przypuszcza, że Niemcy zmienią swoją postawę: dziś zażądają ustępstw w Gdańsku, lub poparcia przez nas ich pretensji w Kłajpedzie, ale *z czasem ich wymagania się zmniejszą,* i dlatego należy zaczekać, aż Niemcy staną się bardziej ugodowi.

BECK MOŻE BY SIĘ ZGODZIŁ NA AUTOSTRADĘ

6 grudzień 1938 r. Rozmowa z Potockim. Potocki przedstawił ministrowi problem autostrady przez Pomorze, mówiąc, że Niemcy, prędzej czy później, podejmą tę sprawę. Jest więc niezbędne, abyśmy zawczasu ustalili nasze stanowisko. Beck przystał na ten punkt widzenia i stwierdził, że w zasadzie nie jest przeciwny idei takiej autostrady.

WSZYSTKIEMU WINIEN CHARAKTER RIBBENTROPA

7 grudzień 1938 r. Rozmowa z Beckiem.

Minister podniósł zagadnienie stosunków polsko - niemieckich, znajdujących się w tej chwili w impasie. Stan ten Beck przypisuje osobie Ribbentropa, który w głębi duszy, dzięki swej przeszłości, jest bliski junkrom i tradycyjnym nacjonalistom niemieckim. Cierpi on też na snobizm w stosunku do Zachodu, traktując z pogardą wschód europejski. Poza tym jest nowicjuszem w dyplomacji, i dlatego Lipski ma wiele kłopotu, by się z nim dogadać, nie tak było z Neurathem, który rozumiał i świetnie wykonywał polecenia Hitlera. Beck sądzi, że Ribbentrop daje się ponosić ambicji, i pragnie łatwych sukcesów, dlatego przekracza granice wyznaczone instrukcjami Hitlera.

(c. d. nastąpi),

opracował **Zygmunt Kałużyński**

Zjazd Polonistów w Poznaniu

Parę dni temu zakończył w Poznaniu obrady zjazd młodych polonistów, szósty tego rodzaju zjazd po wojnie, poświęcony tym razem problematyce literatury współczesnej.

Dotychczasowe zjazdy polonistyczne zawsze odznaczały się trafnym i odważnym wyborem przedmiotu studiów, nie szły szlakami znanymi i wytartymi. Miały ambicję podboju tych dziedzin historii literatury których zbadanie i rewizja wydawały się zadaniem najpilniejszym.

Pierwszy — w roku 1946 — postawił w centrum obrad zagadnienia ogólno-teoretyczne wiedzy o literaturze, ściśle związane z gorącą wówczas wśród młodzieży dyskusją światopoglądową.

Następny zjazd, również w Krakowie, poświęcony był zagadnieniom realizmu krytycznego, najbardziej żywotnej tradycji naszej prozy współczesnej, jednego z najbardziej ważkich argumentów w powojennym sporze o realizm.

Trzeci i czwarty zjazd zajęły się prozą i poezją między wojnami, które interesowały nas jako bezpośrednie, a mało zbadane, zaplecze współczesności.

Przedostatni wreszcie zjazd, we Wrocławiu, był próbą oświetlenia zagadnień romantyzmu, tej najbardziej chyba zaległej dziedziny tradycyjnej polonistyki.

Dzięki tym ambicjom zjazdy lat ubiegłych były wydarzeniami, których sens przekraczał granice środowiska młodzieżowego. Poprzez wszystkie spotkania polonistyczne przepływał żywy nurt polemiki filozoficznej, estetycznej z obrońcami okopów tradycyjnej polonistyki walki o jak najlepsze opanowanie i wdrożenie narzędzi poznawczych marksistowskiej wiedzy o literaturze. Dały też one poważne rezultaty, tak naukowe jak wychowawcze. Zawdzięczali je młodzi poloniści nie tylko własnej, planowej, zespołowej pracy, lecz również w poważnej mierze opiece i patronatowi nad zjazdami zespołu „Kuźnicy" — w pierwszych latach, a później — kolektywu naukowego Instytutu Badań Literackich. Nie tylko w kilku czy kilkunastu wartościowych pracach streszcza się sens tego ruchu. Wówczas gdy uniwersytety były jeszcze siedliskiem idealizmu, od młodzieży wychodziła inicjatywa walki o unaukowienie polonistyki. Na polonistyce szybciej niż gdziekolwiek indziej, nastąpił zasadniczy przełom, jeśli chodzi o postawę ideową młodzieży, szybciej dorastały i rozwijały się kadry naukowe.

Jak na tym tle przedstawia się szósty zjazd młodzieży polonistycznej? Trzeba podkreślić, że wybierając tematykę współczesną, po macoszemu traktowaną dotąd na uniwersytecie, nie zarzucono tej dawnej, bojowej tradycji. Samodzielne studia w tej dziedzinie, wówczas gdy uniwersytecki program w minimalnym zakresie zapoznaje słuchaczy z literaturą współczesną, gdy nie wszędzie na polonistyce istnieją konwersatoria krytyczne, są szczególnie potrzebne i cenne. Nie można sobie wyobrazić dobrego historyka literatury i nauczyciela, bibliotekarza czy wydawcę (nie mówiąc już o tych, dla których krytyka literacka będzie głównym terenem pracy) bez żywego zainteresowania literaturą współczesną, bez dobrej znajomości dzisiejszego życia literackiego.

Prof. Stefan Żółkiewski, opiekun i przewodnik ideowy wszystkich dotychczasowych zjazdów, nieobecny na tegorocznym zjeździe z powodu choroby w pięknym liście do młodzieży trafnie wskazał na naukowy sens zjazdu o literaturze współczesnej. Całą dotychczasową literaturę musimy oceniać z punktu widzenia jej najwyższego stadium, do którego zmierza przez wieki postęp literatury z punktu widzenia realizmu socjalistycznego.

Referaty wygłoszone na zjeździe świadczyły o żywym stosunku naszej młodej kadry polonistycznej do współczesności. Pod względem przygotowania materiałowego, rzetelności i uporządkowania nie pozostawiały wiele do życzenia. Najlepsze z referatów (do nich zaliczam referat Trznadla o twórczości Mieczysława Jastruna, Lama — o pisarstwie Kazimierza Brandysa, oraz Zaworskiego — o powojennym dorobku Adolfa Rudnickiego) były dojrzałymi próbami monograficznego opracowania twórczości tych pisarzy, zarysami, jakich brakowało naszej krytyce.

Natomiast zdarzały się niestety dość często i w referatach, i w dyskusjach błędy i uproszczenia, znamienne dla polonistyki uniwersyteckiej, które ze szczególną jaskrawością rzucały się w oczy przy omawianiu książek współczesnych. Nieprzezwyciężony do końca socjologizm (jak np. w referacie o Żukrowskim, bezpośrednio i prostacko konfrontujący jego utwory fantastyczne z rzeczywistością okupacyjną i pookupacyjną), nieumiejętność dialektycznego stosowania kryteriów historycznych, gdy kładzie się utwory z innego okresu na prokrustowe łoże poetyki socrealizmu (casus Rudnicki — najbardziej chyba antyhistoryczny referat, słuszny w ogólnej polemice filozoficznej z autorem „Ginącego Daniela"), treściowa przeważnie interpretacja utworu, co było szczególnie rażące w referatach o poezji — oto główne obciążenia, z jakimi spotkać się było można na zjeździe. I w tym głównie kierunku toczyły się polemiki i spory nad referatami.

Nie zabrakło również głosów przeciwników Kisielewski vel Kisiel — a w ślad za nim kilku studentów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — wystąpili ze stanowiska obrony konieczności badania utworów literackich w ramach ich założeń światopoglądowych, książek marksistowskich po marksistowsku, a katolickich — po katolicku. Korzystając z tego „prawa" starali się oni bronić książek wrogich — niby w imię walki z wulgaryzowaniem marksizmu. Dziś zdają sobie oni sprawę, że występując z jawnie reakcyjnymi twierdzeniami nie zdobędą wśród młodzieży posłuchu. Ale nie pomogły te przebrania i maski. Były to głosy odosobnione, na które potrafili odpowiedzieć studenci pierwszego roku, wykazując, jakie tendencje polityczne kryją się pod maską propagowania krytyk immanentnej, co znaczy o „dzie usprawnienie" i „odwulgaryzowanie" marksizmu.

Oczywiście, nie można mieć do zjazdu młodzieżowego pretensji, że nie pokusił się o syntezę literatury powojennej, skoro — poza ogólnymi szkicami — nie zdobyli się na to krytycy. Ale wzorem lat ubiegłych zjazd powinien zaatakować problemy najważniejsze, spróbować po nowatorsku oświetlić proces kształtowania się w Polsce literatury realizmu socjalistycznego. I pod tym względem do ostatecznego programu zjazdu trzeba mieć zastrzeżenia. Nie odbiła się w referatach i dyskusjach zjazdowych dynamika walki o realizm socjalistyczny, jej stadia, osiągnięcia, perspektywy. Wskutek tego nie poddano również rewizji dotychczasowych ocen krytyczno-literackich. Referat, który do takiej zasadniczej dyskusji powinien prowokować, referat o bohaterze pozytywnym, jako słaby znalazł się na szarym końcu, na peryferiach zjazdu. Nie było referatu o poezji Broniewskiego, nie padł nawet tytuł „Rzeczywistości", milczeniem pominięto obfity i ciekawy nurt naszej prozy wspomnieniowo-dokumentarnej, a więc przede wszystkim „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego, nie mówiono o fali nowych socjalistycznych treści, jakie wtargnęły do literatury w latach przełomu. W rezultacie — mimo że było o tym mowa — zamazany został sens przełomu w naszej literaturze w latach 1948-50.

W związku z tym zjazd nie mógł podjąć najbardziej zasadniczej i ważnej dziś dyskusji o problemach współczesnej literatury. Zjazd polonistów był w pewnej mierze odbiciem ogólniejszej sytuacji w naszej krytyce, która w ogniu jednostronnie rozumianej walki o jakość naszej literatury, zapomina często o naczelnym zadaniu — jakim jest walka o dalsze zacieśnianie związków naszego pisarstwa z życiem, o zwiększanie jego wychowawczego i politycznego oddziaływania. Sądzę, że na przygotowaniach do zjazdu zaciążył pewien spadek ofensywności politycznej w walce o dalsze postępy realizmu socjalistycznego w naszej literaturze.

Zjazd dowiódł, że wśród młodej polonistyki są kadry krytyków. Poziom referatów i dyskusji świadczy, że młodzież ta ma duże aspiracje. Program studiów nie pozwala tej młodzieży rozwijać się w należytym tempie. Dlatego warto przypomnieć projekt, jaki wysunął swego czasu prof. Kazimierz Wyka — projekt stworzenia na studium polonistycznym (przynajmniej w jednym z uniwersytetów) specjalizacji krytyczno-literackiej, która przygotowałaby studentów do tego odpowiedzialnego zawodu. Opracowaniem takiego projektu zająć się komisja krytyki literackiej przy ZG ZLP i przedłożyć go Ministerstwu Nauki. Zapotrzebowanie społeczne — prasa literacka, codzienna, wydawnictwa — jest ogromne, zdolne kadry istnieją, trzeba zająć się ich kształceniem.

Zjazd postanowił nie kończyć na tym pierwszym spotkaniu zbiorowej pracy nad literaturą współczesną. Trzeba życzyć sobie, żeby dalszy kierunek tych prac szedł po linii głównego nurtu naszej literatury, po linii zgłębiania zagadnień realizmu socjalistycznego.

Tadeusz Drewnowski

Wyjaśnienie wyd. M.O.N.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej podaje do wiadomości, że autorem ilustracji i okładki książki **„DROGI PODZIEMNE"** w Ochotnikowa jest **Ob. MARIAN WALENTYNOWICZ**. Nazwisko Ob. Stefana Styczyńskiego — podanego w książce jako autora ilustracji i okładki — umieszczone zostało omyłkowo za co Wydawnictwo przeprasza Ob. Walentynowicza.

K 1400-1

Książki

Epopeja ludu hiszpańskiego

Cesar Munoz Arconada. Nad Tagiem. „Czytelnik" 1951. Tytuł oryginału „Rio Tajo" Z hiszpańskiego tłumaczyła **Zofia Szleyen**. Okładkę projektował **Jerzy Jaworowski**. Str 421 Cena 13 zł 80 gr.

Głęboka miłość ojczyzny, przywiązanie do ludu hiszpańskiego, wiara w jego przyszłość, podziw dla jego bahaterstwa i współczucie dla jego cierpień — oto zasadnicze cechy powieści Arconady „Nad Tagiem".

Akcja toczy się w pierwszych miesiącach wojny domowej — zrazu wśród gór Estramadury, skąd widać szeroki szmat kraju zniszczonego przez faszystów, gdzie słychać „przeciągłe, żałosne skargi górskiego wiatru, który krzyczy o bólu Hiszpanii, opanowanej przez zdrajców" — potem nad rzeką Tag, której autor poświęca szereg pięknych i wzruszających kart, każąc jej cierpieć cierpieniami ludu Ożywianie przyrody, zespalanie jej z ludźmi, z ich życiem, to jedna z charakterystycznych cech poezji ludowej, z której Arconada świadomie czerpie, nadając swej opowieści o ludzie hiszpańskim charakter ludowego eposu

Bohaterami powieści są pasterze żyjący w górach, z dala od cywilizacji. Ich swoista wielowiekowa kultura i ludowa mądrość wyraża się w przypowiastkach, przysłowiach, gadkach. Arconada w szeregu epizodów odmalowuje ich obyczaje i kreśli całą galerię żywych, sympatycznych postaci. Wśród nich wyróżniają się: bajarz Sabio Lenguilla, jeden z tych, „którzy prawdziwie reprezentują lud, bo wyrastają z ludu, bo skupiają w sobie całą tradycję narodową, przenoszoną i zachowaną przez pokolenia chłopów i pasterzy", czy też naszkicowani paroma rysami muzykanci i poeci Juan z Puerto, Ramonin, Raspacantares.

Arconada ukazuje przemiany, jakie w czasie wojny domowej dokonały się w świadomości pasterzy, którzy w ogniu walk z przeważającymi siłami faszystów dojrzewają politycznie, przekształcają się zwolna z ciemnych, zacofanych i niezdyscyplinowanych partyzantów — w karnych, w pełni świadomych żołnierzy Armii Ludowej Wyrwani z ciemnoty i zacofania dawni analfabeci, dzięki kursom oświatowym zdobywają wiedzę. Stają się pełnowartościowymi obywatelami, świadomymi twórcami historii Komórka partyjna wpływa na wzrost ich politycznego uświadomienia i wzmacnia czujność wobec wrogów, wkradających się w szeregi walczącego ludu.

Na tym tle ukazuje Arconada ewolucję bohaterów powieści: Chaparreja i Flory Fermoselle. Chaparrejo był analfabetą, ciemnym i prymitywnym pasterzem kóz Wojna stała się punktem zwrotnym w jego życiu. „Zbudzony ze snu, zachował w sobie całą mądrość starego ludu; intuicja odkrywała przed nim istotę wielkich spraw. Czuje szlachetnie i służy wielkim ideałom, więc staje bez wahania w pierwszym szeregach po stronie walczących o sprawiedliwość dla ludu, broni słusznej sprawy rzucając na szalę wszystko, co posiada: własne, twarde, chłopskie życie". Dzięki swoim zaletom osobistym zostaje dowódcą oddziału pasterzy. W toku walki zdobywa coraz większe doświadczenie, dojrzewa politycznie i urasta na prawdziwego ludowego bohatera. Flora natomiast pochodziła z rodziny burżuazyjnej. Jak wielu młodych, buntowała się przeciw jej przesądom, szukała drogi wyjścia z zatrutej atmosfery rozkładającej się klasy. Bunt Flory był przede wszystkim obyczajowym i dopiero dzięki wojnie znalazła właściwą drogę: stanęła po stronie ludu przeciw własnej rodzinie i własnej klasie. Flora wstępuje do oddziału Chaparreja. Między pasterzem i partyzantką rodzi się miłość, która dla obojga staje się podnietą do zdwojenia wysiłków w walce o wolność, oboje wiedzą bowiem, że ich szczęście ma jedną cenę: zwycięstwo.

Arconada podkreślając historyczne znaczenie wojny narodowej dla ludu hiszpańskiego, potępia tych, którzy pragnąc zachować dawne przywileje i utwierdzić własne panowanie klasowe rozpętali wojnę, sprowadzili na ziemię hiszpańską bandytów z Legii Cudzoziemskiej, „Maurów", niemieckie oraz włoskie samoloty i czołgi, by przy ich pomocy mordować własny lud, niszczyć miasta i wsie, niszczyć skarby hiszpańskiej kultury „Jesteście niby kruki poszukujące padliny, aby nią nasycić swoje apetyty. Arriba Espania! — Podnieś się, Hiszpanio!" Ale czy domostwa mogą się podnieść z ruin? Czy zburzone miasto może wrócić na swoje miejsce w historii?... Czy życie ludzkie, czy tysiące młodych ludzi, zmiecionych z powierzchni ziemi wstanie kiedykolwiek do życia? „Powstań, Hiszpanio! O nie, śmierć pozostaje śmiercią, ruiny pozostają ruinami!"

Głęboko humanistyczna, piękna powieść Arconady powstała w ogniu walki o wolność i walce tej służy. Odzwierciedlając bojowy zapał robotników i chłopów hiszpańskich, ich nienawiść do faszystowskich najeźdźców, sama z kolei budzi entuzjazm i wiarę w ostateczne zwycięstwo Ukazując czytelnikowi na przykładzie ewolucji bohaterów powieści, w sposób niesłychanie sugestywny, ogromne przeobrażenia, jakie dokonały się w Hiszpanii w czasie wojny domowej, Arconada pomaga mu lepiej je sobie uświadomić, a tym samym lepiej zrozumieć o co walczy.

Piękny przekład Zofii Szleyen zasługuje na uznanie. Krótki wstęp tłumaczki informuje czytelnika o życiu i twórczości Arconady

Adam Kotula

Z życia Z.L.P.

A. SURKOW NA WYBRZEŻU

W związku z Miesiącem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej odbyło się w dniu 13 bm. w Klubie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich spotkanie gości radzieckich z przedstawicielami świata artystycznego Gdańska, Gdyni i Sopotu. Na zebranie przybyli bawiący na Wybrzeżu przedstawiciele świata artystycznego ZSRR: znany poeta radziecki A. Surkow, naczelny redaktor tygodnika „Ogoniok" i kompozytor ukraiński laureat Nagrody Stalinowskiej W. Gomoliak. Atrakcją wieczoru były wiersze Aleksego Surkowa, wygłoszone przez autora oraz utwory Fryderyka Chopina w wykonaniu kompozytora gdanskiego W. Walentynowicza.

Fen.

ARTYŚCI RADZIECCY W ŁODZI

W Łodzi gościła — entuzjastycznie podejmowana 12-osobowa grupa artystów teatru im. Mossowietu z reżyserem, zasłużonym artystą ludowym Białoruskiej Rep. Radzieckiej, A. Szapsem i reżyserem O. Abdułowem na czele.

Goście spotkali się m. in. z załogą ZPB im. Stalina. W Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy A. Szaps wygłosił odczyt na temat: „Sztuka radziecka w walce o pokój". Po odczycie wystąpili aktorzy radzieccy z bogatym programem artystycznym, na całość którego złożyły się: utwory Chopina i Dworzaka, inscenizacja fragmentów ze sztuki Gogola „Ożenek" i ze sztuki Gorkiego „Wassa Żeleznowa" oraz inscenizacja humoreski Czechowa „Dyplomata", recytacja fragmentu prozy Szołochowa.

AKCJA AUTORSKO-ODCZYTOWA

W ramach Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Łódzkim Klubie Międzynar. Książki zorganizowano zbiorowe wystąpienia autorskie („czwartki literackie"), na których literaci łódzcy czytają przekłady z prozy i poezji radzieckiej, oraz utwory własne o aktualnej tematyce. Odbywają się również odczyty literatów w świetlicach fabrycznych, w bibliotekach miejskich. Tematy odczytów: „Twórczość Gorkiego", omówienie książek („Podżegacze" Szpanowa, „Żniwa" Nikołajewej, „Poemat pedagogiczny" Makarenki, reportaże M. Szaginian, „Daleko od Moskwy" Ażajewa, „Szczęście" Pawlenki, „Kawaler Złotej Gwiazdy" Babajewskiego, „Burza" i „Dziewiąta fala" Erenburga). Omawia się poza tym twórczość M. Ostrowskiego, poezję Majakowskiego, radziecką poezję dla młodzieży, literatury narodowe Zw. Radzieckiego.

Przewidziano również wyjazdy w teren do świetlic gminnych.

J. H.

Z PRACY SEKCYJ TWÓRCZYCH ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU ZLP

Na sekcji poezji (10.XI) dyskutowano nad antologią wierszy o Łodzi, wydaną przez Łódzki Kom. Wyb. Frontu Narodowego p.t. „Łódź w walce". Ref. J. Skoszkiewicz.

◆

13.XI.52 na posiedzeniu sekcji prozy omawiano szkic T. Papiera „Pierwsza próba", związany z problematyką budowy rurociągu Pilica — Łódź. Dyskusję zagaił E. Szuster. Przy okazji poruszono zagadnienie szkicu jako pewnego określonego gatunku literackiego, powołując się na przykłady z prozy rosyjskiej (Mamin-Sybiriak, Gleb Uspienskij).

WIECZORY DYSKUSYJNE NA TEMATY KRYTYKI LITERACKIEJ

Komisja Krytyki Literackiej przy ZG ZLP rozpoczyna cykl wieczorów dyskusyjnych, poświęconych zagadnieniom krytyki. Pierwszą dyskusję na temat książki Henryka Markiewicza „O marksistowskiej teori literatury", która odbędzie się 5 grudnia b. r. o godz. 17-ej w Warszawskim Domu Literatów (sala konferencyjna) zagai Ludwik Flaszen.

Najbliższe zebrania sekcji twórczych ZLP w Warszawie

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że zebrania sekcji twórczych ZLP odbędą się:

w dniu 2 grudnia br. we wtorek o godz. 17-ej sekcja przekładu; temat: „Udział Erenburga w walce o pokój" (Referuje G. Pauszer — Klonowska).

w dniu 3 grudnia br. we środę o godz. 17-ej sekcja poezji; temat: o pieśni masowej (referuje J. Ficowski).

Kronika krajów demokracji ludowych

Pisarze czechosłowaccy w miesiącu przyjaźni

Na uwagę zasługuje ciekawa inicjatywa Związku Pisarzy Czechosłowackich, który rozpoczął w Miesiącu Przyjaźni Czesko-Radzieckiej akcję zapoznawania czytelników z kulturą i literaturą Związku Radzieckiego. W dyskusjach literackich (których przewiduje się kilkadziesiąt) wezmą udział przede wszystkim ci pisarze, którzy znają osobiście Związek Radziecki, jak np. Maria Majerova, laureatka Nagrody Państwowej Jarmila Glazarova oraz laureaci Nagrody Państwowej — pisarz J. Marek, A. Bernaszkova oraz inni.

Nowe niemieckie pismo literackie

Z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej ukazał się specjalny numer nowego niemieckiego pisma literackiego „Neue Deutsche Literatur". Pismo to jest organem Związku Pisarzy Niemieckich i od stycznia 1953 roku ukazywać się będzie jako miesięcznik. Naczelnym redaktorem „Neue Deutsche Literatur" jest Willi Bredel.

Czytelnicy węgierscy o literaturze

W ramach tygodnia książki, który odbył się na Węgrzech we wrześniu b.r., Związek Literatów Węgierskich zorganizował ogólnokrajową konferencję czytelników. Bibliotekarze, propagatorzy czytelnictwa, przedstawiciele ogółu czytelników, a wśród nich przodujących w produkcji robotnicy i pracujący chłopi ze wszystkich stron Węgier zebrali się w Domu Związków Artystycznych w Budapeszcie, ażeby z przedstawicielami literatury przedyskutować wspólne zadania pisarzy. Na konferencji byli obecni: Sekretarz Związku Literatów Węgierskich, laureat Nagrody Kossutha Lajos Kónya, pisarze — Bela Illes, Pal Szabó, Peter Veres, laureaci Nagrody Kossutha oraz inni przedstawiciele węgierskiego świata literackiego.

W dyskusji czytelnicy wyrażali swoje życzenia w stosunku do pisarzy. M. in. chłopi ze spółdzielni produkcyjnych prosili, aby literaci pisali o ich życiu. Konferencja zbliżyła czytelników do pisarzy i pozwoliła im zapoznać się z życzeniami czytelników.

E. M.



Michel de Gallard

Odbudowa Warszawy (do notatki „Warszawa w paryskim Salonie Jesiennym").

Przegląd prasy zagranicznej

Fr. Mauriac — wyrzucony

„W zastanawiający sposób zbiegły się w ostatnim czasie dwa akty wyborcze — pisze felietonista „Ce Soir", znany krytyk i publicysta Wurmser — wybór Eisenhowera na prezydenta Stanów Zjednoczonych i wybór Francois Mauriaca na tegorocznego laureata Nagrody Nobla. Nie sądzimy, aby jury szwedzkie ukoronowało tym zaszczytem autora „Sagouin" [1]), raczej nagrody należy powinszować autorowi artykułów wstępnych w „Le Figaro"

Nawiązując do tego, że na kilka dni przed ogłoszeniem Mauriaca laureatem Nagrody Nobla cała prasa francuska podała niesprawdzoną zresztą wiadomość o tym, jakoby w tym roku zaniechano przyznania pokojowej nagrody Nobla, Wurmser kończy swój felieton zjadliwym ale słusznym stwierdzeniem: „I rzeczywiście Nie ma pokojowej nagrody Nobla Wręcz odwrotnie"

Oczywiście, że nie cała prasa francuska przyjęła przyznanie Nagrody Nobla Fr. Mauriacowi — znanemu z elegancko wykonanej w kierunku faszyzmu wolty — równie ironicznie jak prasa postępowa. Jeden z tygodników literackich zachwycony „nowym sukcesem literatury francuskiej" zadał sobie nawet trud zacytowania obszernych głosów o tym wydarzeniu z prasy amerykańskiej „Mauriac w oczach Amerykanina" — temat ciekawy A więc — co np. pisze o pisarzu najpopularniejsza czyli odzwierciadlająca zainteresowania przeciętnego Amerykanina agencja Associated Press: „Mauriac otrzymał nagrodę... ponieważ... z mistrzostwem maluje prowincjonalne rodziny, rozdarte przez nienawiść, pragnienie zemsty i niskie instynkty,. Nieliczni tylko pisarze mają odwagę pokazać sceny tak rażące krańcowym seksualizmem".

Najciekawszym jednak elementem dyskusji prasowej wokół przyznania Mauriacowi nagrody było autorytatywne oświadczenie narodowego Komitetu Pisarzy (organizacji zawodowej odpowiadającej naszemu ZLP) stwierdzające że laureat nie jest w ogóle członkiem związku, gdyż został z niego przed czterema laty usunięty (W r. 1944—45 Mauriac był prezesem związku) Bezpośrednim bodźcem do opublikowania tego oświadczenia było zdjęcie Mauriaca zamieszczone w jednym z brukowo - sensacyjnych pism paryskich, przedstawiające jubilata wygodnie rozciągniętego na tapczanie i czytającego z błogim wyrazem twarzy (jak głosił podpis) — list z gratulacjami otrzymany od znanego kolaboranta — pisarza Jacques Chardonne Otóż J Chardonne był jednym z pierwszych pisarzy potępionych za kolaborację przez Związek i umieszczonych na tzw „czarnej liście" przez samego... Mauriaca Jak ocena kolaboracji z hitlerowcami zmieniała się w świadomości Mauriaca, dowodzi następująca chronologia wydarzeń związanych z tą kwestią [2])

Rok 1944 Uchwalenie przez Narodowy Komitet Pisarzy pod przewodnictwem Mauriaca statutu, w którym potępia się kolaborantów — pisarzy i orzeka się zerwanie z nimi wszelkich stosunków

Rok 1946 Mauriac występuje z ostrym protestem przeciwko przyjęciu do Akademii Francuskiej pisarza — kolaboranta J L Vaudoyer.

Rok 1948. Mauriac razem z Vaudoyerem zostaje przyjęty do Akademii W pierwszym numerze nowego pisma literackiego „La Table Ronde", w którego komitecie redakcyjnym zasiada Mauriac ukazują się aż trzy artykuły trzech pisarzy-kolaborantów. Mauriac na podstawie opracowanego przez siebie samego statutu zostaje usunięty ze Związku Pisarzy.

Rok 1952. Mauriac w przyjaźni z pisarzami-kolaborantami — już jako laureat Nobla.

[1]) Tytuł nagrodzonej powieści.

[2]) Z artykułu „M Mauriac, est-il ou non l'honneur des lettres francaises" („Les Lettres Francaises" nr z 13 XI.52)

Sartre w nowym wydaniu

Dezorientacja polityczna burżuazji francuskiej wobec stałej presji USA z jednej a presji tradycji liberalnych z drugiej strony (wyrażająca się ostatnio chociażby udekorowaniem niewpuszczonego do USA Chaplina Legią Honorową) — powoduje niesłychane zamieszanie w różnych środowiskach i „obozach" intelektualnych Nigdzie chyba jak we Francji nie było w ostatnim czasie tak wielu zdawałoby się niespodziewanych wolt pisarzy, artystów, czy naukowców, którzy oceniani dotąd jako ideologiczni wrogowie obozu postępu występowali z deklaracją stawiającą w kłopotliwej sytuacji ich dotychczasowych biografów, krytyków czy naśladowców, bo za jednym zamachem przekreślającą lub stawiającą pod znakiem zapytania dotychczasowe sądy o nich oraz prognozy drogi rozwojowej ich twórczości czy światopoglądu. Tak było np. z Sartrem Wprawdzie „szkoła" Sartre'a i „sartryzm" pozostał, ale mistrz zdaje się odchodzić od swych dotychczasowych pozycji. Jeszcze rok temu Sartre opracował scenariusz filmowy wg znanej ze swoich antykomunistycznych i antyhumanitarnych tendencji sztuki „Les mains sales" (Brudne ręce), jeszcze pół roku temu młodzi studenci francuscy, zwolennicy ruchu obrońców pokoju przerywali seanse tego filmu manifestując przeciw Sartre'owi; dziś poszedł w ich ślady sam autor sprzeciwiając się wystawieniu tej sztuki w Wiedniu, w czasie swego tam pobytu. I to pobytu w nie byle jakim charakterze — delegata na Światowy Kongres w Obronie Pokoju.

Oczywiście, faktu tego nie należy przesadzać, ani też nie upoważnia on jeszcze do jakichkolwiek pewnych wniosków co do przyszłego rozwoju tego pisarza. Ale sam fakt, świadczący o zdobywaniu przez ruch w obronie pokoju coraz to nowych zwolenników stojących dotąd na wrogich postępowi pozycjach — jest faktem zasługującym na szczególną uwagę. Zdeklarowanie się Sartre'a po stronie bojowników o pokój nie było tylko gestem. To ważki **problem moralny** dotykający m. in. (jeśli chodzi o ten konkretny wypadek) przewartościowania przez samego pisarza sądu o dotychczasowej swej twórczości pod wpływem krytycznego spojrzenia na rozwój wydarzeń politycznych we Francji Sartre, w którego twórczości tkwią pewne elementy anarchizmu, którego twórczość nastawiona była niewątpliwie w swych początkach „pour epater les bourgeois" — spostrzegł, że jest przez tych samych burżua adoptowany, kanonizowany Warto zwrócić uwagę na to że pierwsze wystąpienie Sartre'a po stronie postępu (Sartre zaprotestował przeciw wojnie w Indochinach i uwięzieniu Henri Martin) odbyło się w następujących okolicznościach: Delegacja przedstawicieli świata kultury i sztuki przyszła domagać się uwolnienia Martina u Auriola. Prezydent delegacji nie przyjął Przyjął natomiast — samego Sartre'a.

A przemiany moralne?

Sartre opracował (dla filmu) nową wersję „Ladacznicy z zasadami" (n b polski przekład tytułu brzmi b. dystyngowanie, tytuł oryginalny zawiera precyzyjniejsze i znacznie mocniejsze określenie **zawodu bohaterki**) Wersja pierwsza, znana w Polsce, drukowana i grana w 1946 roku na scenie jednego z teatrów łódzkich, posiada „typowo egzystencjalistyczne" rozwiązanie przedstawiające triumf złego nad dobrym. W wersji drugiej, filmowej (film wszedł już na ekrany Paryża i cieszy się powodzeniem) zakończenie jest zupełnie inne (formalnie i ideologicznie) Bohaterka nie kapituluje przed szantażem, nie wydaje niewinnego Murzyna w ręce rasistów amerykańskich Do ostatniej chwili broni go — i w rezultacie — zwycięża, grzebiąc tym samym idealny wzorzec egzystencjalistycznego bohatera W jednym z n-rów „Humanite Dimanche" — niedzielnym wydaniu dziennika będącego organem KPF znajdujemy na 1-szej stronie, na widocznym miejscu, wielki fotos z „Ladacznicy" przedstawiający bohaterkę w pozie niedbałej i podkasanej, a pod zdjęciem tekst recenzji nadzwyczaj dla filmu przychylnej...

Kos.

Warszawa w paryskim Salonie Jesiennym

Pamiętamy jeszcze wielki skandal jaki wybuchł w roku ub. na dorocznym „Salonie jesiennym" współczesnego malarstwa francuskiego w Paryżu. Wówczas to policja po raz pierwszy w historii Francji usunęła z sal wystawowych obrazy postępowych malarzy Skandal stał się głośny w całym świecie Rezultaty zaś tej policyjnej wyprawy do sal wystawowych okazały się zgoła odwrotne od zamierzonych czego dowodzi m in. następna wystawa — tegoroczny „Salon jesienny" (Salon d'Automne) otwarty obecnie w Paryżu Jak stwierdzają jednogłośnie recenzenci tegorocznego Salon d'Automne (m in. w „Les Arts" „Figaro Litteraire", „Le Monde") daje się zauważyć „zwrot do maniery realistycznej"

„Jesteśmy daleko od ubiegłego Salon d'Automne—pisze Jean Marcenac—z kilkoma płótnami realistycznymi zagubionymi wśród sal, zapełnionych płótnami abstrakcjonistów lub imitacjami wielkich mistrzów sztuki współczesnej tylko pod jednym kątem: akademizmu awangardy Zmiana, która się przedstawia naszym oczom to.. kilka płócien abstrakcjonistów zagubionych wśród większości dzieł realistycznych"

W pierwszym rzędzie zwraca uwagę duża ilość obrazów przedstawiająca charakterystyczne typy różnych zawodów: hutnicy, rybacy, praczki — krytyka dopatruje się w tym „powrotu do wielkiej tradycyjnej dla malarstwa francuskiego tematyki typowej dla wszystkich szkół malarskich w pierwszym etapie ich rozwoju. Następnie duża liczba obrazów o tematyce pokojowej: tu wymienia się m. in. obraz G Chapront — nocny pejzaż o delikatnie rozproszonym świetle skupionym tylko na postaciach rysujących na murach słowo „Paix"; obraz Taslitzkiego „Ojciec algierski" — przedstawiający mężczyznę w łachmanach trzymającego na lewej, jedynej posiadanej ręce kilkuletnią uśmiechniętą (kontrast z twarzą mężczyzny) dziewczynkę; obraz Valentiena — przedstawiający Jacques Duclos na trybunie Assemblee Nationale (postać z wyciągniętą do przodu wskazującym gestem ręką, postać nadzwyczaj plastyczna i żywa w stosunku do pozostałych elementów kompozycyjnych — dwóch płaskich malowideł secesyjnych muz na trybunie i dwóch równie płaskich i martwych postaci urzędników - stenografów, wreszcie obraz de Gallard'a [3]) „Odbudowa Warszawy" (reprodukujemy go powyżej) Obraz Gallarda, który powstał w wyniku pobytu tego malarza w Polsce w kwietniu tego roku, służyć może jako przykład nowego — podkreślanego przez krytyków Salon d'Automne — „humanistycznego rozwiązania tradycyjnego pejzażu" (sformułowanie Marcel Cornu). W związku z tym, że część krytyków zwróciła uwagę na „nic nowego nie wnoszące tradycyjne pejzaże" (np Notre Dame, Tour Eiffel) krytyka postępowa polemizując z tą tezą zwróciła uwagę na nowum tych pejzaży: postacie ludzkie, związane swoją funkcją z głównym tematem (w wypadku obrazu Gallarda będzie to robotnik przy pracy. dominujący nad elementami architektonicznymi)

[3]) Gallard, młody 31-letni malarz, maluje dopiero od 46 r — poprzednio był studentem medycyny Mimo tego obrazy jego są dość cenione G jest „specjalistą" w oddawaniu charakteru architektury i nastroju przedmieść paryskich.

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32 I p. Tel. 7 36 23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12. tel. 7 52 50. Wydaje RSW „Prasa"
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel 804-20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO I 5589/111, tel 7 38 05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa". Warszawa, Marszałkowska 3/5. 1-B-26530